

Krystyna Świerczewska Narodziny władzy

Droga jak złoty kanion wiedziedzie między pola tyse, zmarznęte po szalanej zimie i jeszcze szaleńczej wiosnie, siche, bez krzty zieleni, co po inne lata o tej porze nęciła już koniczyną na rękę bujną, garściami rwaną. To właśnie dziś pierwsi odważni czynią pierwszy odważny siew w wyziębnętej ziemi i jest w tym spóźnionym sianiu niecierpliwość, przykrywająca strach o zbory. Odwieczny strach polskiego rolnika. Starszy niż państwo polskie — rówieśnik chłopskiego stanu.

Droga wiedziedzie do góry; na górze czerni się las, za tym lasem bączalskim inny las — las Liwocza, za lasem liwoczkim znów lasy — hen, aż po Tarnów rozsiadłe, gęste, nieprzyjazne obcym, broniące wsi, które otaczają, śpiewające, gdy powieją wiatry. Powiadają, że ten bączalski lassek był progiem dla Niemców, za który nie lubili stawać buńczuczny buta, odkąd jeden z nich wędrował z Bączalu Górnego — drugi do Bączalu i w wieczór spotkali się w nim: stanęli na odległość strzału, rozpoznania nie czyniąc, historycznie ryjąc sakramentalne „Hände hoch” i nie wiadomo, którego nerwy zawiodły — dość, że jeden tylko z lasu wyszedł. I to był ten ostatni raz, kiedy bączalski lassek oglądał samotnego Niemca. Powiadają tak wiele, tak różnie i tyle tajemnic jeszcze nie wydały lasy, że temu śpiewaniu poświęcić by można czas cały, gdyby nie fakty, które znają oni — mieszkańcy podleśnych okolic, a które dla nas są równie mało znane, co im tajemnicze śpiewania.

Siedzą więc niżej lasu czterej chłopci gromady Skotyszyn, czterej jej kolejni przewodniczący, czterej kawalerowie Orderu Odrodzenia Polski: pierwszy Zabawa, drugi Pisz, trzeci Bigos i czwarty, najmłodszy, ostatni, współczesny — Cholewiak. Mają w sumie ponad dwie setki lat, każ-

dy dwie wojny światowe zastawił za sobą i znając historię Skołyżyna, Lisowa, Bączalu Górnego wcale nie chcą w niej widzieć historii — lecz życie, w którym uczestniczą i które tak właśnie ich ukształtowało.

Stanisław Bigos jest najstarszy, brak mu 2 lat do siedemdziesiątki: mówią o

A LASY WTEDY ŚPIEWAŁY

nim z szacunkiem — inteligentny samouk; pisze tę historię właśnie, nieco nieskładnie, próbuje porządkować, a wiek siada mu na karku i pogania.

Śmieją się: — Niedługo wymrzemy i do kogo będą przyjeżdżać panowie magistrowie, kto im opowie o bączalskim lesie, narodzinach władzy, głodnych ludziach, którym byt ukształtował świadomość?

Bo w rejonie bączalskiego lasu ukonstytuował się latem 1943 r. po wcześniejszych aresztowaniach trzeci już z rzędu Komitet Okręgowy PPR na Podkarpaciu, powstała w maju 1944 Skołyżyńska Gmina Rada Narodowa, pierwsza w Jasielskim oraz we wrześniu pierwsza konspiracyjna Powiatowa Rada Narodowa w Jaśle.

Pisze Paweł Karp — dziś przewodniczący Komisji Kontroli Partyjnej przy KW PZPR:

„Udaliśmy się z terenu pow. gorlickiego w Jasielskie do row. Władysława Syzdeka. By nie zdradzić naszych przygo-

towań podróż odbyliśmy nocą... Po złożeniu sprawozdania i dyskusji powołano nowy Komitet Okręgowy PPR na Podkarpaciu. Sekretarzem zostałem ja, a członkami Andrzej Buda, Kosiba i Kwilosz, ps. „Tomek” — komendant okręgowy GL. Później dokooptowano do tego składu Edmunda Patere...”

W 1943... powołano w Bączalu Górnym Komitet Dzielnicowy PPR, a w parę dni później taki sam komitet powstał w Jabłonicy. Sekretarzem w Bączalu Górnym został Syzdek, a sekretarzem KD w Jabłonicy — Józef Bylinowski. Były to dwa nowe komitety w pow. jasielskim, grupujące najbardziej ofiarnych towarzyszy...”

Czterej najbardziej ofiarni siedzą ze mną w domu Zabawy w Lisowie, u stóp bączalskiego lasu...

Władysław Syzdek wyjechał stąd po wyzwoleniu — dziś on najstarszy, bo akurat w ubiegłym tygodniu obchodził 75-lecie urodzin. Bylinowski z Jabłonicy nie żyje. Żyje natomiast Ludwik Biernacki z tejże Jabłonicy w historycznym domu-drukarni, gdzie zwykła maszyna do pisania wystukiwała na początku 44 roku pierwszą ulotkę o powstaniu Krajowej Rady Narodowej...

Nie żyją: Józef Sarnecki z Lipnicy i zginął Wojciech Kwilosz z Kunowej, ów „Tomek”, którego pamięć przechowują do dziś śpiewające lasy, bo w nich miał swoją siedzibę, swoich ludzi. A zginął strasznie smutno — powiada Zabawa. — W przeddzień wigilii 1944 r., na dwa dziesiątki dni przed wyzwoleniem Jasła udał się z chłopakami swoimi do Jabłonicy, żeby prześwietać... Czy zbieg okoliczności, czy ktoś zdradził — w obławie zginęli.

A udawało się przecie tyle razy — dodaje Cholewiak i słyszę opowieść nieco niesamowitą, jak to na parę miesięcy wcześniej, przebrany za proszalnego dziadka wszedł „Tomek” w obojętne Cholewiaka, gdzie stacjonowali akurat Niemcy. Cholewiak młodził cepami — zbladł — podszedł do „Tomka”, zaśwargotał do Niemców, że to taki nieszkodliwy żebrak,

(Ciąg dalszy na str. 2)

NASZA CODZIENNOŚĆ

Dziś w Brzozowie uroczysta inauguracja Dni Oświaty, Książki i Prasy. Rzeszowszczyzna wraz z całym krajem rozpoczyna doroczne święto kultury polskiej. Obchody trwać będą bez mała cały miesiąc, bo do niedzieli 25 bm. Imprezy Święta Ludowego staną się zarazem uroczystym finałem Dni.

Maj — najpiękniejszy miesiąc roku dedykujemy kulturze. Tak jest od lat. Jednak Dni Oświaty, Książki i Prasy anno 1969 będą inne od poprzednich, inne gdyż przebiegają w roku srebrnych godów Polski Ludowej, i tuż przed ogromnie ważkim momentem w życiu narodu, jakim są wybory posłów do Sejmu PRL i radnych do rad narodowych wszystkich szczebli. Posłowie i radni, których wybierzemy 1 czerwca br. będą przecież m. in. decydowali o dalszym rozwoju i rozkwicie oświaty i kultury, przez najbliższe 4 lata. Start dzisiejszy jest imponujący i chodzi o to, by nie zaprzepścić nic z dorobku, który powstał kosztem wielu wyrzeczeń, tworzył się w codziennej, żmudnej działalności tysięcy działaczy oświaty i kultury z ich inicjatyw i pracy społecznej.

W Dniach Oświaty, Książki i Prasy o sprawach kultury mówimy w sposób odświętny, ale sumujemy przecie codzienność, mówimy o dotychczasowym dorobku, analizujemy osiągnięcia, wyznaczamy sobie zadania te najpilniejsze i te, które możemy określić jako plany maksimum.

Na pierwszym planie w dziedzinie kultury narodowej będzie zawsze oświata. Dlatego ją stawiamy na pierwszym miejscu. W 1945 r. startowaliśmy — szczerze mówiąc — od zera. Co znaczyło 60 proc. strat w bazie materialnej w czasie ostatniej wojny dobrze wiedzą ci, którzy spotkali się z ówczesną szkołą. W zasadzie trzeba było rozpocząć od budowy gmachów szkolnych, kształcenia kadry, opracowania struktury nowoczesnej oświaty. Dziś szkoła 8-letnia powszechnie obowiązuje, a planuje się wprowadzenie obowiązku ukończenia szkoły średniej już dla naszych wnuków. I tak dynamiczny rozwój widoczny jest w każdej dziedzinie kultury polskiej. Trudno powiedzieć, który jej dział ma największe osiągnięcia, w jakiej dziedzinie dorobek najbardziej imponujący. Rozszerzyło się pojęcie kultury na co dzień i jest ogromnie szerokie. Wiadomo też, że im wyższy poziom kultury i oświaty osiągniemy, tym większe będą wymagania społeczne. Jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że w ciągu intensywnej pracy ostatnich 25 lat Polska osiągnęła pełną integrację kulturalną kraju. Przekreśliłiśmy wszystkie Polski „A”, „B”, „C”. Jest jedna Polska o przebogatym dorobku kulturalnym i światłym społeczeństwie. Wymagania mieszkańca małego miasteczka, osiedla czy metropolii województwa, kraju są identyczne. Polska pokryła się siecią interesujących centr artystycznych i kulturalnych. Suma ich działania składa się na obraz naszej kultury.

Kultura polska ma należne jej miejsce na mapie kulturalnej Europy i świata. O kontakty z nami ubiegają się państwa, których opinia w dziedzinie kultury liczy się w świecie. Wyrazem naszego awansu jest m. in. prowadzenie wymiany kulturalnej z kilkudziesięcioma krajami świata, z 39 mamy wieloletnie umowy kulturalne.

Dni Oświaty, Książki i Prasy — dni mobilizacji do dalszego wzbogacania i rozwijania kultury narodowej, budzenia inicjatyw społecznych. Właśnie inicjatywom społecznym i ich realizacji w poważnym stopniu zawdzięczamy tak dynamiczny rozwój kultury w ostatnim ćwierćwieczu Polski, kraju ludzi kształcących się, którzy są współtwórcami nie tylko jej dorobku gospodarczego, ale także bezpośrednią pracą tworzą nową socjalistyczną kulturę nowej Polski.



A LASY WTEDY SPIEWAŁY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ci machnęli ręką i Cholewiak poszedł do stodoły, wyniósł naręcz jabłek dla „Tomka” — dziada, wsypał mu w koszyk na oczach Niemców, dorzucił coś trzy granaty i pochwalniejszy Pana, „Tomek” powędrował z powrotem przez bączalski las...

— Ludzie wiedzieli — mówi Bigos — wiedzieli i milczeli. Wiedzieli, że był przywódcą jednej z czterech GL-owskich „piątek”, właśnie tu na Skołyszyn. Pomagali, jeśli nie jadem, nie czynem — to bodaj milczeniem. Pomagali nie tylko nam. Żywe jest po dzień dzisiejszy wspomnienie o gruzińskim majorze zestrzelonym w Brylach z samolotem, kiedy poraniony, dowiół się na teren Bączalu i u Banacha w ciasnej izbie, w której nie było go nawet gdzie ukryć, oszalowali kawalek żłobu krowiego, podsykali słomy i przez dwa tygodnie opatrywali rany, jak tam kto potrafił, a później przez następne 4 tygodnie u Kuli, Piotrowskiego, Adamika — przetrwał jakoś, wylizał się cudem bądź ludzką dobrocią z ran i przedarł w końcu do swoich.

— A z tym majorem, proszę pani — włącza się Cholewiak — to pamiętam jak dziś, kiedy zdarły mnie nocą chłopaki z łózka i kazaly oprować prosie, kupione za składkowe grosze, żeby rano człowieka pożywić, bo głód u Banacha i gotów z tego głodu nie przetrzymać.

— A pani wie, że Pisz zdierał pierzyny ze swoich siedmiorga dzieci, żeby przykryć zmarzniętych partyzantów?

Pisz jest skromny, mało-mówny, rumieni się. A las śpiewa w tej chwili, bo pod zachód słońca lubią tu przywiał wiatry i zatargać drzewami...

Bigos, godny, słuchający, taktownie wraca do rzeczywistości:

— Banachowi daliśmy rentę społeczną, bo ciężko się chłop pochorował i stracił władzę w nogach; daliśmy naturalnie jako ZBoWiD, któremu przewodniczył w Skołyszynie.

Po raz pierwszy rodzi się we mnie uczucie ciągłości historycznej, rządzącej życiem ludzkim. Jest w niej miejsce na logikę faktów i logikę wy-

nagrodzeń; logikę czynów i logikę odznaczeń. Jest w niej połączenie dnia wczorajszego z bieżącą chwilą; nic nie bywa wydarte z kontekstu zdarzeń. Władza rodziła się taka, jaką potrzebowali mieć ci ludzie. Rodziła się w konspiracji, żeby przerwać wojnę, głód, raz w życiu pozwolić dojść do szczytu pojęcia oczekiwanego — sprawiedliwości.

Bigos był w KPP. Był w KPP nieobecny w Lisowie Syzdek. Cóż zatem dziwnego, że to właśnie oni zaczęli mącić głodny spokój jednej podkarpackiej gminy i, jak mówi dziś przekornie Cholewiak, znaleźli dość „wywrotowców”, którzy ucizali baby, wojujące z szarganiem uświęconego porządku. A przecież i one pomagały, biegły do lasu, poplakując, nawołując do powrotu, ale w kobałkach nosiły wszystko, co by ten powrót opóźniało. Pomagały — bo do dziś żywa jest pamięć o chałupie przycupniętej w wąwozie i przysłoniętej sosnami, w której starowinka z Lipnicy prowadziła niemal regularną stolówkę partyzancką i którą Niemcy puścili z dymem; a żeby po miejscu, ni po człowieku nie został ślad — żywą kobietę rzucono w płomień...

A dzieci? Mała Władzia Syzdek prowadziła przez lasy od przystanku kolejowego przedstawicieli Obwodu Krakowskiej PPR; 12-letni Zabawa smykał koszyki do lasu partyzantom, a Piszowa siódmką marzyła pod powłóczkami, kiedy pierzyny wędrowały do stolarni, okrywać wojujących.

Proste są te narodziny władzy. Proste jak chleb, którego nie było i jak ludzie, którzy byli i są dalej tutaj. Nigdzie nie wyjechali, często w tych samych chałupach trwają i jak przed ćwierćwieczem patrzają w niebo, bo pogoda wyznacza rytm ich pracy.

A przecież nie takie to proste było wtedy, kiedy w bączalskim lesie kilkudziesięciu ludzi pod wieczór zawiązywało pierwszą Gminną Skołyszynską Radę Narodową oraz projektowało pierwszą powiatową, co dopiero w parę miesięcy później się ukonstytuowała. Jej pierwszy przewodniczący — Zabawa

ryzykował życiem, co i później, w kwietniu już po wyzwoleniu objawiło się wyrokiem śmierci wydanym przez buszującą bandę, kiedy przez dach wyrwawszy się z własnej chałupy, nocą, bosą, w skąpym przyodziewku drałował złotym dziś kanionem, wtedy po pas człowiekowi sięgającym sniegiem na dół, do wsi, a żona, zmartwiała, z rewolwerem przyłożonym do skroni, zdrowaśkami odmierzała czas jego nocnej ucieczki.

A we wrześniu, gdy na placu przed domem Stanisława Pisz pojawiać się zaczęli wędrowcy z okolicznych wsi? Pisz powiada, że więcej wędrował z psem po polach wokół domu niż brał udział w obradach pierwszej jasielskiej Powiatowej Rady Narodowej.

Było ich znówu kilkunastu. Ci wybrani do władz powtarzali w stolarni Pisz, pełnej wóju, śledząc bacznie wszelki ruch wokół uspiętej pozornie zagrody słowa przysięgi za Pawłem Karpem, który z ramienia Komitetu Okręgowego PPR ją odbierał. Powtarzali:

„Ja... członek Rady Narodowej; syn narodu polskiego, cierpięcy niewolę niemiecką, służyć uroczyście poświęcić całkowicie swe zdolności rzetelnej pracy według mego najlepszego rozumienia i zgodnie z sumieniem nad kierowaniem losami narodu w walce o wolną, niepodległą i demokratyczną Polskę. Wobec niebezpieczeństwa grożącego ze strony okupanta hitlerowskiego i występujących się zdradźców Polski, obowiązki swe pełnić będę z zachowaniem bezwzględnej konspiracji i w poczuciu odpowiedzialności przed narodem polskim”.

Cztery ich było te rady w terenie naszego województwa. Cztery konspiracyjne: w Jasle, Gorlicach, Przeworsku i Nisku, powstałe wcześniej niż przyszło wyzolenie, powstałe czasem z inspiracji tych pomniejszych, jak to miało miejsce z jasielską, którą wyprzedziła skromna, gminna, skołyszynska. Jasielska zaś miała szczególną rolę, ukonstytuowała się bowiem mniej więcej wtedy, gdy zaczęto ginąć miasto. Z bączalskiego wzgórz oglądali nocami luno pożarów, po zosach wóczyły się spalone strzępy, wiatr dmuchał popioły, swąd wędrował daleko za granice

przedmieść, a tysiące ewakuowanych jaślan ciągnęło na Skołyszyn, przytulanych kątem po chałupach, bez odzieży, bez żywności, bez środków do życia.

Kiedy wspomina się ten czas, za który do dziś Jasło oskarża, to barbarzyństwo, ten szal niszczący, te słynne 99 procent ruin i zgliszcz, to systematyczne łupienie dla Rzeszy, te tysiące wagonów z jasielskim dobytkiem wędrujące na Berlin, te hordy poszukiwaczy kosztowności, które z łomami w dłoniach ostukiwały każdą ścianę, każdą podłogę, każdą piwnicę z zakopanym ludzkim mieniem — to jednocześnie wspomina się pierwszą naczelną działalność konspiracyjnej jasielskiej Powiatowej Rady Narodowej, ukonstytuowanej w Bączalu Górnym.

...Żeby ludzie nie wyginęli z głodu!

Nie wiem, czy może być tragiczniejsze hasło i zarazem bardziej demokratyczne, bardziej szlachetne.

Zbiórki żywności, dobrowolne dary w czasie, gdy każda szmata miała wartość koczucha, udzielanie ciepłego posłania, podczas gdy na karku lisowian stacjonuje 200 esesmanów niemal równoległe z początkiem zagłady Jasła — oto pierwsze działania jasielskiej Rady. Nie zmieniają się one zresztą wiele i po wyzwoleniu. Do miasta, gdzie nocami błyszczą blachy, złowieszczą szarpają rynnę i stalowe konstrukcje domów, gdzie Stanisław Pisz w swojej pierwszej wędrowce powojennej wzdryga się przed ruiną, na której balansuje zawieszona wysoko proteza nogi, jakby na znak, że katek tu nie oszczędzano — do tego miasta — widma ciągną pierwsze podwozy, a jasielska PRN legalnie tworzona w parę dni po 15 styczniu umieszcza się w podworskim budynku w Gorejowicach — przedmieściu Jasła, pamiętna, że wzięła początek ze skołyszynskich gospodarzy, w całości wchłaniająca w swój legalny już organizm konspiracyjne kierownictwo. Więc kierownictwo wędruje pieszo z Lisowa, Bączalu, Skołyszyna co najmniej raz w tygodniu po kilkanaście kilometrów w tę i w tamtą stronę. I nie to, że jest styczeń, luty, marzec, że szosy poniszczono, że mosty pozrywane — sesje się mnożą, bo ludzie żyć muszą, jeść muszą, bo sesje zwołuje się nie dla czczych obrad, ale dla podtrzymania życia powiatowego miasta i jego kilkudziesięciu tysięcy rozproszonych, zdeorientowanych, za-

gubionych. Stanisław Bigos ma wtedy 42 lata, więc zakłada gumki i lasami na skrót idzie obradować...

A Zabawa zwołuje u siebie w domu już trzy dni po wyzwoleniu pierwsze legalne posiedzenie GRN w Skołyszynie. Potem przejmując gminę i urząd. Jak urzęduje? W pustym pokoju, bez biurka, bez atramentu, ze stalówką przywiązaną do patyka, bez skrawka czystego papieru. Przeto wpada na genialną myśl, by na starych aktach zgromadzonych na strychu, na ich odroście próbować prowadzić legalną kancelarię...

Pieniądze za urzędowanie? Chtoredzi kawalerowie Orderu Odrodzenia Polski śmieją się zdrowo i serdecznie. Nie było w kasie złotych, złamanego szeląga; wszystko polegało na dobrowolnych darach i... braku wynagrodzenia za działalność. Kiedy Bigos dostał po trzech miesiącach prowadzenia Komitetu Gminnego pierwsze państwowe 100 złotych, a kilo chleba kosztowało 40 zł — to co, on, Bigos miał za nie kupić? Podarował na odbudowę Jasła.

Właściwie nie bardzo wiadomo, ile oni tych darów złożyli i kto je składał, bo składali wszyscy. W naturze i robociźnie, w podwodach i pomocy sąsiedzkiej. Chodzili pieszo i z łopatami do Jasła, czekali niecierpliwie na uruchomienie pierwszej huty szkła. Toteż gdy ruszyła w lutym 45 i zatrudniła 120 ludzi, osiągając produkcję 40 procent stanu przedwojennego — to to był i ich sukces. Kiedy ruszyły kopalnie ropy naftowej w Harkłowej i Brzezówce — to to był i ich sukces. Kiedy 20 stycznia rozpoczęła pracę jasielska poczta i 14 jej placówek w powiecie — to to także był ich sukces. Ale kiedy uruchomić się dało tylko 108 szkół podstawowych i zaledwie 5 średnich, a ponad 2752 dzieci nauki rozpocząć nie mogło — to to była ich troska.

Ich sukces — że Jasło wysunęło się zdecydowanie na czoło w województwie pod względem liczebności członków PPR — ich troska, że w Sierzynach jedyny partyjny kierownik szkoły na 46 nauczycieli, a zarazem przewodniczący GRN był wykliny z ambony i bojkotowany.

Ich sukces, że z reformy rolnej skorzystało 2610 ludzi, w tym 517 bezrolnych, 630 małorolnych i 1463 średniorolnych, że rozdzielono 3289,72 ha; ich sukces, że zdobyli z innych rejonów Polski już w lutym 600 ton zboża, kartofli,

Zbigniew Wawszczak

KRZECZOWICE — WIEŚ „BURACZANYCH LIŚCI” — PO LATACH

Ta wieś stała się sławna. Była to zresztą ponura sława. Rozgłoszono jej salwy karabinów maszynowych granatowej policji. Salwy w tłum, w mieszkańcach Krzeczowic, Hóbrki, Zurawiczek, Siennowa i innych, pobliskich wsi. Polała się krew, bratnia krew, polska krew, wytoczona rękami polskiej policji.

„Nie żyje ich podobno dziwięcioro. Zostali zastrzeżeni.”

Czy istnieją słowa, aby tę nieludzką zbrodnię opisać?

Wszystkie wyrazy, cała mowa wydaje się w tej chwili nie mieć wartości i jak gdyby przyzwalająca na to okropne, co się stało.

Przeglądam „Buraczane liście”, które Maria Jarochońska osnuła na tle wydarzeń w Krzeczowicach w 1936 roku. Moi rozmówcy znają tę książkę, owszem, czytali ją, ale gdy chcą się nią posłużyć dla odtworzenia wydarzeń z lat trzydziestych, kiwają przecząco głowami.

— Wje pan, tu wszystko pozmienniane, jakoś tak inaczej przedstawione. My panu opowiem, jak to było naprawdę. Tak mówią ludzie, którzy brali bezpośredni udział w pamiętnym strajku chłopskim. Nie bardzo chcą uznawać prawo pisarza do

swobodnego komponowania materiału, do zabiegów, bez których nie byłoby literatury. Oni chcą opowiedzieć dokładnie, dzień po dniu jak organizowali komitety strajkowe, jak umacniali w ludziach odwagę, jak zagrzewali ich do wytrwania, jak zbierali się potajemnie, aby nie dowiedzieli się o tym wywiadowcy policji, jak przekonywali słabych, którzy wątpili w celowość akcji, utwierdzali ich w przekonaniu, że przecież mają rację, że chodzi tu nie o wydumane, nie trzymające się ziemi, żądania. Za swoją robotę domagają się godziwej zapłaty, nie chcą aby ich szikanowano, aby nimi pomiatali rządcy, popędzali jak bydło. Są przecież wolnymi obywatelami wolnego kraju i nie jest dla nikogo tajemnicą, że przymierają głodem, zwłaszcza w okresie przednowoków, że w chałupach chłopów i służby folwarcznej brakuje wtedy nie tylko chleba, ale i kartofli. Toż przecież tylko na folwarku mogą zarobić, żadnej innej pracy niepo-

dobną znaleźć za żadną cenę. Stanisław Zegartowski, rządcą majątku krzeczowickiego, zapisanego Polskiej Akademii Umiejętności przez zmarłego bezdzietnie braci Teodorowiczów, potrąca im jeszcze, pod byle pretekstem, z ich głodowych zarobków. Jeżeli koń zgubi podkowę, furman musi zapłacić 50 groszy, jeżeli coś się komuś zepsuje, musi to pokryć ze swego zarobku.

A zarobki tu nędzne, najwyższe, wypłacane mężczyznom nigdy nie przekraczają złotych, a dla kobiet wyciągają 80 groszy, a dzieci — 40—60 gr. Za pracę od świtu do zmierzchu... „Nienawidzę warstwy szlacheckiej za to, że potrafiła żyć tak beztrosko, jak żyją, stykając się na każdym kroku z nędzą tych, którzy pracują dla nich, na ich ziemi i bez których nie mogliby się obejść. Nienawidzę, bo aby uspokoić swoje sumienie mówili sobie, że „nic na to nie można poradzić, że tak być musi, skoro równość jest niemożliwa, już w założeniu samej natury”.

Majątek, administrowany przez surowego rządcę, był dość duży, należało do niego ponad 500

hektarów ziemi. Do prac przy burakach cukrowych, przy zbiorze rzepaku angażowano i 400 osób, z Krzeczowic i sąsiednich, przeworskich i jarosławskich wsi. Ludzie ci myśleli, że trzeba przecież coś zrobić, bo tak dalej być nie może...

W DOMU PIKULÓW, W PRZYSIÓŁKU ZWANYM „NOWĄ WSIA”

Deszcz pada bez przerwy, trudno wychylić nosa z samochodu. Wychodzimy przecież na błotnistą drogę, mój towarzysz, niewysoki mężczyzna o siwych skroniach, Adam Nosek, wprowadza mnie w przebieg tamtych wydarzeń. Na wzgórzach stary dworek, o poczerpanym, gontowym dachu (mają go przenosić do muzeum-skansenu, do Sanoka), obok niego bieleją ściany pałacu.

— To z dachu tego pałacu otworzył ogień jeden z policyjnych karabinów maszynowych, drugi umieszczony był na dachu położonego w głębi spichrza. 9

osób padło zabitych, ponad czterdzieści rannych...

Oglądamy pomnik ku czci zamordowanych wystawiony w 1956 roku staraniem Związku Zawodowego Pracowników Rolnych, ale deszcz pada ciągle, trudno więc tutaj, na miejscu odzwierciedlenia wypadki. Kierujemy się do domu jednego z przywódców strajku, Stanisława Pikulę. Pięć lat mieszka w przysiółku zwanym Nowa Wieś przysiółku powstałym po wojnie, na ziemi z rozparcelowanego majątku. Wszystkie domy tu nowe, murowane, solidne i zabudowania gospodarcze także. Tak mieszkają dzisiaj ludzie, gnieźdzący się kiedyś w folwarcznych czworakach, w drewnianych walących się budach. To jest rewanz za głodną i chłodną przeszłość, za podłe zarobki, za poniewierkę, po Francji, Niemczech...

Siedzimy w czystośćkiej kuchni, młoda kobieta (synowa) szyje na maszynie, żona bawi pewno dwuletnią wnuczkę, a gospodarz wespół z Adamem No-

2,5 tony cukru, około 3 tys. kompletów odzieży i 90 ton różnych artykułów żywnościowych w UNRRA — ale ich troska, że miało to wystarczyć na 34 tysiące osób...

Ich sukces — że uratowali tysiące, ich troska — że dziesiątki ludzi załamanych wędrowało po żębrach, za darowizną, zdarzały się nawet samobójstwa z głodu i bezradności.

Po wyzwoleniu KW PPR kieruje do Jasła przeskoczonych towarzyszy; jednym z nich jest Michał Sałustowicz — pierwszy jasielski starosta.

Docieram do niego — dziś urzędnika w Rzeszowie i wspominamy ten czas w skromnym pokoiku biura RPBM. Sałustowicz rysuje mi trzy rzeki na skrawku papieru: Ropę, Jasiolkę i Wisłokę. I rysuje mi most, który trzeba było zacząć budować, by połączyć odcięte Jasielskie ze światem. Opowiada o moście budowanym z dwu stron jednej rzeki, o saperach radzieckich, którzy opornych „chorych” wieźli do pułkowego lekarza, o pierwszej planowej gospodarce śpiewającymi lasami, które wycinano tam, gdzie dyktował to zdrowy rozsądek. Opowiada znowu o jasielskich blachach, nocą świecących — widzę wtedy, że to wspomnienie jak obsesja nachodzi pierwszych wizytatorów Jasła, opowiada o gnijących od lipca kopakach zboża na linii frontu, o sprzątaniu trupów, o pomocy sąsiedzkiej, o parcelacji ziemi, o bandach dziesiątkujących działaczy. Opowiada wreszcie o tym, jak objeżdżał wsie przygodną furką, by zmontować te 148 sołtysostw, a chłopcy się dziwili, że pan starosta tak marnie podróżuje... Opowiada i o tym, że czyn społeczny, owa pomoc sąsiedzka wynikała z konieczności dziejowej, a nienormowana żadnym paragrafem, dała o sobie znać tragicznie, gdy pełen dobrej wiary sąsiad na polu biedaka, któremu przyjechał pomóc, wyorał minę i rozniósł jego, konia, furkę, a „winien” był de facto starosta tę pomoc lansujący...

Może za lat setkę będziemy mówić w westernowej konwencji o narodzinach władzy w latach 1944 — 45. Zostanie wtedy bohaterstwo czyste, złote kaniony dróg, niebiesko-zielone łąki, czerń lasów, czerwień buków i plener tego pięknego zakątka ziemi. Może. Dziś jeszcze są świadkowie żywi. Jest w tych wspomnieniach po prostu tragicznie i bohatersko. Nawet mimo splećnia dat, czy to było na

początku lutego, czy w połowie marca; czy w zebraniu uczestniczył Franek czy Piotr. Czy dziecko było w dziurawych butach, czy w ogóle bez.

Na 25-lecie PKWN Gromada Skołyżyn wystąpiła z propozycją, by nowo wybrana PRN w Jasle odbyła swą pierwszą sesję wyjazdową na podwórku Stanisława Pizsa.

Odżył mi w tej propozycji cały romantyzm początków naszego burzliwego ćwierćwiecza.

Pisz jest małowówny, propozycję zaferował i czekał będzie zapewne cierpliwie, co z nią się stanie.

Cholewiak — obecny przewodniczący — jest nerwowy, szybko formułując zdanie i leży mu kamieniem na sercu spraw garść, które by wypadało załatwić, choć tak jak tę z bączalskim światłem, które przed pół rokiem dopiero dotarło do zasłużonej wsi, dzięki pomocy PRN i dzięki przedsiębiorczości miejscowych chłopów.

Zabawa — obecny sekretarz lisowskiej POP jest żywą kroniką tamtych lat i wylicza mi na palcach tę pierwszą dwunastkę, tworzącą Powiatową Radę Narodową. Marzy mu się wyliczenie jej przed audytorium znajomym ze wspólnych bojów.

Stanisław Bigos li tylko dba o pamięć tamtych lat. Sprawy rodzinne, skomplikowane, utrudniają mu nieco życie, ale to wszak on wraz z Władysławem Syzkiem tworzyli słynne trójki KPP-owskie, wszak on był tym najbliższym skołyżyńskim chłopom uosobieniem nowego porządku i wszak on — do dziś niestrudzony — nie pozwolił tej historii zbudowania zębów władzy przepaść w niepamięć.

Przypadek szczęśliwy mi pomógł, że siedzą tu ze mną we czterech i opowiadają na nasz wspólny użytek, jak to było. Nie skąpią drobnych złośliwości, jako gospodarze terenu, pod adresem terenu:

nie bierze ich malowniczością złoty kanion, bo wędrują nim, zasypanym śniegiem, dwa razy dnia przez ćwierć wieku, choć czas już najwyższy, by zastąpił kilkudziesięcioletnie nogi niebieski autobus;

drażni ich — trzy razy czynnem społecznym obmyślana szkoła w Lisowie, którą zapoczątkowali ojcowie w 1929 r. z jednym nauczycielem i czterema klasami; w 45 roku oni sami kupili drugą chałupinę za 105 tysięcy złotych — i te dwie stoja do dziś „ino żeby ich nie tknęła za silnie”.

A dziś zebrali 100 tysięcy w materiale, gotówce, opracowaną mają dokumentację i... utknęli na martwym punkcie... Czują przy tym, że od historii coś im się należy, że bodaj tę szkołę i ten autobus — to ona im winna...

Kończymy historyczną rozmowę filiżanką mleka mamy Zabawowej. Jest ciepło, z kochanymi — takie jak lubię. Pod lasem złoci się słońce, skóre na wiosnę do drzemki,

rolnik jakowyś, jak za króla Piasta dobywa z fartucha ziarno, szczerze je rozsypując po wyżeźniętej ziemi, a las bączalski wchłonął już w swoją zieloną granatowość powracającego do domu Stanisława Pizsa. Jest wiatr; niebo wisi nisko nad Lisowem, kanion się złoci, a las coś śpiewa. Podejrzewam, że trochę tych śpiewań rozszyfrowała. Prostych, ludzkich, nieuczonych, bez muzycznego zapisu

— ale porywających. Urzeczoną — próbuję tę frazę muzyczną przełożyć na słowo, jak zawsze nieporadna trochę, gdy przychodzi pisać o sprawach nieprzeżytych.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

*) Paweł Karp: „O ludziach w działalności rewolucyjnej na Podkarpaciu”. Z myślą o Polsce Ludowej — Rzeszów 1963.

NOWY DOM SZTUKI

26 kwietnia otwarto nowy budynek dla Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu. Jest to zaadaptowana zabytkowa synagoga zniszczona przez okupanta. W nowym gmachu oprócz pomieszczeń dla zajęć dydaktycznych i pracowni dla artystów-plastyków, nauczycieli liceum, znalazła się również galeria wystawowa. Można bez przesady powiedzieć, że jest to najładniejsza tego typu sala w województwie rzeszowskim. W przyszłości będą tu

mogły być prezentowane największe wystawy prac plastyków. Obecnie otwarto wystawę malarstwa i rzeźby uczniów Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu. W otwarciu wzięli udział przedstawiciele władz wojewódzkich i powiatowych.

Na zdjęciu: artysta-plastyk, dyrektor Państwowego Liceum Technic Plastycznych w Jarosławiu Edward Kieferling dziękuje obecnym za złożone życzenia.



POLONICA KULTURALNE

FRESKI Z FARAS WE FRANCJI

„Le Figaro” zamieścił drugi z serii artykułów o polskiej kulturze pióra Jeanine Warnod. Dziennikarka francuska relacjonuje swoją rozmowę z profesorem Kazimierzem Michałowskim na temat prac ekipy polskiej przy ratowaniu beczennych fresków z Faras w Sudanie.

Dziennik informuje, że prawdopodobnie w przyszłym roku w Paryżu otwarta zostanie wystawa fresków uratowanych przez naukowców polskich. „Figaro” przypomina równocześnie, że we Francji ukazała się niedawno monumentalna praca prof. K. Michałowskiego poświęcona sztuce starożytnego Egiptu.

„KRZYŻ WALECZNYCH” — NA EKRAKACH RADZIECKICH KIN

Na ekrany radzieckich kin wszedł w kwietniu polski film fabularny „Krzyż Walecznych” — pierwszy utwór pełnometrażowy reżysera Kazimierza Kutza. „Jeszcze jedno spotkanie ze Zbyskiem Cybulskim” — tak anonuje film prasa radziecka. Aktor ten występuje w ostatniej noweli filmu Kutza.

WYSTAWA WSPÓLCZESNEGO MALARSTWA POLSKIEGO WE FRANCJI

W miejscowości Vallauris na południu Francji otwarto wystawę pn. „Współczesne malarstwo polskie”. Ekspozycję, na zaproszenie mera, zorganizował Związek Polskich Artystów Plastyków. Obejmuje ona prace piętnastu malarzy krakowskich, m. in. Włodzimierza Buczka, Juliusza Joniaka, Mariana Kruczkę, Jana Szancenbacha i Jana Świdorskiego.

skiem wspominają. Mają co opowiadać; Adam Nosek, dziś referent Miejskiej Rady Narodowej w odległym o 15 km Przeworsku, był wtedy przywódcą ruchu strajkowego, Stanisław Pikula stał na czele komitetu strajkowego sezonowych... Ale przecież te komitety nie powstały tak od razu, pomalutką, latami uczyli się abecadła politycznego działania. Był wysiłek i bleda. Trzeba było coś zrobić. Młodym z Krzeczowice przyszli z pomocą działacze ZMW „Wici” z Przeworska, Stanisław Świątlik i Józef Ziemia. Ten ostatni, jak się później okazało, był członkiem działającej w podziemiu Komunistycznej Partii Polski. Radzili im, aby w sposób dyskretny zabraли się do organizacji komitetów strajkowych, a następnie przygotowali umowy, w których zagwarantowane byłoby ich prawa.

Posłuchali tych rad, powstały komitety: sezonowych, dniówkowych, wreszcie służby folwarcznej. Na tajnym zebraniu sporządzono umowy o pracę. Rządca inż. Stanisław Zegartowski uchylił się od jej podpisania. We wsi narastało napięcie, działacze komitetów ogłosili strajk. To było 25 czerwca, najpierw zastrajkowali robotnicy dniówkowi, następnego dnia przyłączyli się do nich sezonowi.

Zegartowski próbował przeciągnąć na swoją stronę służbę folwarczną, około 30 osób. Zapędził folwarcznych do zwózki rzepaku. Krok ten spotkał się z protestem ze strony strajkujących, bo to była przecież ich robota. W wyniku tego protestu — służba folwarczna odstępuje od rzepaku.

Ludzie kierujący dworem chwycili się jeszcze innych środków, aby rozbić solidarnie stojących ramie przy ramieniu robotników dniówkowych, sezonowych i służbę folwarczną, aby złamać ich opór, zmusić ich do kapitulacji. Postanowiono uderzyć w najbardziej niebezpiecznych, tych, co tu siedzieli ledwie na skrawkach ziemi (a było takich ludzi w Krzeczowicach niemało) i na przednówku nie mieli co do ust włożyć. Otóż przy folwarku funkcjonowała młeczarnia. Ponadto obyczajem uświęconym od niepamiętnych czasów, dwór przynależał część spośród swych zapasów zboża; właśnie dla biedoty; mając w ten sposób zabezpieczoną najtańszą siłę roboczą. Dawano więc mleko i zboże na tzw. odrobek, każdy z pobierających zobowiązywał się do odpracowania owego kredytu przy pracach polowych... Rządca Zegartowski nakazuje wstrzymanie wydawania mleka i zboża na odrobek. „Zobaczmy czy nie

spokornieją te „buntowniki” gdy im kiszki marsza będą grać!”

Ale komitet strajkowy nie zamamuje rąk. Wespół z działaczami koła SL natychmiast organizuje zespół pomocy dla biednych. Ludzie z Krzeczowice, sąsiedniej Bóbrki śpieszą z pomocą, przynosząc mąkę, mleko, inne artykuły żywnościowe. Rozdziałem tych środków zajmuje się siostra Adama Noska, Katarzyna Malach.

W tych dniach, gdy w małych Krzeczowicach trwa prawdziwa próba sił, pomiędzy rządząca a robotnikami rolnymi, w całym kraju, a zwłaszcza w Małopolsce narasta niezadowolenie mas chłopskich z polityki sanacji. 30 czerwca ma miejsce, nie opodal Krzeczowice, ogromna, 100-tysięczna manifestacja. Przybyli na nią Rydz Śmigły w pośpiechu opuszcza Nowosielce z powodu wrogiej postawy chłopów, żądających stanowczo „usunięcia rządów sanacyjnych a ujęcia steru państwa przez rząd zaufania mas ludowych”.

Krwawe dni...

Na wieś spadają aresztowania. Noskowi i Pikule w porę uprzedzonym, udaje się zbiec, policja aresztuje 9 osób spośród najbardziej aktywnych. Na wieś o tym, emisariusze komitetów

strajkowych mobilizują sąsiadów. 2 lipca, rankiem, ściągają chłopów pod dwór krzeczowski ze wszystkich stron. Wysyłają delegację do policji z prośbą o wyjaśnienie powodów, które spowodowały aresztowania. Gdy jedna delegacja nie wraca, wyrusza druga. Ta również nie wraca. Tlum otacza ze wszystkich stron dwór, policja jest osaczona. Uwalnia członków obydwu delegacji, ale aresztowanych wcześniej nie chce zwolnić. Powiada chłopom, aby wybrana przez nich delegacja udała się do starostwa. Tymczasem ktoś zauważył, że na folwarku przebywa zastępca starosty, osławiony Popiel, który już wcześniej, przyjmując delegację chłopów z Krzeczowice wstawił się cyniczną i brutalną zarzem postawą.

— Po co pójdziemy do Przeworska? Przecież starosta jest tu. Na drodze formuje się pochód i kieruje w stronę dworu. Policja otwiera ogień z karabinów maszynowych...

Krwawa masakra nie kończy strajku chłopskiego w Krzeczowicach. Folwark opuszcza służba folwarczna.

— Wymordowaliście naszych braci, róbcie sobie sami — powiadają.

Zal po stracie najbliższych i gniew ogarnia wieś. Są tacy,

k którzy chcą spalić folwark aby skończyć z uciskiem raz na zawsze. Następnego dnia, 3 lipca otacza Krzeczowice oddział policji konnej, zaczynają się aresztowania, pacyfikacja... Pojmanych chłopów, wśród których znalazł się również Adam Nosek, bito okrutnie kolbami karabinów, szykanowano, każąc im kłęcząc godzinami...

Około 60 aresztowanych i skutych przewieziono do więzienia w Rzeszowie. 19 spośród nich stanęło przed sądem okręgowym. Skazano ich na karę od półtora do dwóch lat więzienia. Adam Nosek spędził w więzieniu 35 miesięcy. Wrócił do domu tuż przed wybuchem wojny, w czerwcu 1939 roku.

...policjanci, wydając groźne okrzyki rzucili się ku domom. Jedni przystawili do ściany drabinę, wspierali się po szczeblach i zaczęli zrywać strzechę, rozrzucając garście słomy na wszystkie cztery strony świata, drudzy zajmowali się rabaniem drzwi za pomocą strażackich toporków, trzeci rozbili się po obejściach.

Jakiegokolwiek stworzenie im się pod rękę nawinęło, kopali i bili do krwi nikomu nie darowali zarówno czy to był człowiek czy dziecko czy pies, lub świnia... i krzyczyli do ludzi: „chcieliście strajku, my wam pokazemy strajki, aż wam się odechce raz na zawsze, że was rodzona mamcica nie pozna!!!”

Krzeczowice – wieś „Buraczanych liści” po latach...

(Ciąg dalszy ze str. 3)

To cytaty, jak i poprzednie z „Buraczanych liści”. To nie fantazja pisarki. Zajrzyjmy do dokumentu z tamtych lat. Protokół relacji sucho, w sposób właściwy urzędowym materiałem: „W dniu 24. 8. 1937 o godz. 3 po północy wtargnęła do mieszkania ob. Antosz Marii (w Krzeczowicach) policja państwa i dokonała zniszczenia urządzenia domu.

Zniszczono: 48 szaf, 3 szafy, 2 pierzyny, 4 zagłówki, skrzynie, stół, 2 zegary, bęben do grania... Jest tu około dwudziestu pozycji. W pewnej chwili przecieram oczy, tak nie myślę się, zniszczono (poprzedzono) obraz Matki Boskiej... Nie do wiary, tak postępowała policja katolickiego przeciw państwa.

NADSZEDŁ ROK 1944...

Choć przegrali wtedy, w 36 roku, choć musieli ulec przemocy, niedługo już triumfować miały stare porządki. Nadszedł rok 44. Dekret PKWN o reformie rolnej przekreślił dalszą egzystencję obszarnczych majątków. Ponad 400 ha rozparcelowano w Krzeczowicach wśród chłopów, a zawłaszczono fernali i biedoty jedną trzecią folwarku pozostawiono do dyspozycji państwowego gospodarstwa doświadczonego...

W SZKOLE IM. POLEGLYCH W STRAJKU

Okazały gmach tysiąclatki stanął w Krzeczowicach w 1963 roku. W uroczystościach otwarcia wzięli udział przedstawiciele rządu, władz wojewódzkich i stronnictw politycznych. Uroczystość ta bowiem miała coś z symbolu: piękną szkołę oddawano dzieciom i wnukom „buntowników”, którzy w latach trzydziestych obficie przelali krew w walce o lepsze jutro...

Henryk Piłch, kierownik szkoły krzeczowickiej, pokazuje mi oprawny w ramkę dyplom, wyrażający podziękowanie społecznemu komitetowi budowy szkoły za aktywną postawę. Bo mieszkańcy Krzeczowic nie próżnowali: pomoc w realizacji wykopów i innych robót określono na sumę ok. 300 tys. zł. Ludzie tujejsi nie chcą siedzieć z założonymi rękami w dalszym ciągu deklarują bezinteresowną pracę przy ulepszeniu dróg, wznoszeniu obiektów użyteczności publicznej. Krzeczowice nie mają domu ludowego, nawet zebranie trudno zwołać, bo nie ma odpowiedniej sali. Członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej wystąpili więc z inicjatywą budowy remizy, która by służyła i straży, i wsi. Zgromadzono prawie połowę potrzebnych materiałów budowlanych (cegły, wapno, cement), jednakże podjęcie prac opóźnione zostało z powodu braku dokumentacji. Wiceprzewodniczący prezydium PRN, Dąbowski, przybiecał mieszkańcom, że doloży wszelkich starań aby dokumentacja jak najszybciej dotarła do Krzeczowic...

Nie dziwię się, że sprawa ta ciągnęła się od dłuższego czasu, ogromnie interesuje tamtejsze społeczeństwo. Strażacy również zamierzają uporządkować groby ofiar pacyfikacji na miejscowym cmentarzu.

Z podwórza szkoły, usytuowanej na wzgórzu (również na podworskim gruncie) roztacza się roległy widok. Kierownik Piłch pokazuje mi Krzeczowice. Wieś opuszcza powoli błotnistą dolinę, przenosząc się na suchsze wznesienia. Tam powstają nowe osiedla. Nie muszę dodawać, że było to możliwe po złamaniu żelaznego uścisku folwarku, oddania w ręce chłopów żyznych ziem...

— Po wojnie zaczęliśmy zupełnie od nowa — opowiada sol-

tys, Andrzej Bielecki. — Fernali, to nawet nie mieli najprostszymi narzędziami, wszystkiego musieli się dorabiać.

Trzeba powiedzieć, że egzaminów, na pewno niełatwy, wypadł dobrze. Świadczy o tym wyciągnięte w regularnym szeregu rządy nowych, murowanych domów i zabudowań gospodarczych, świadczą postępy w gospodarce rolnej, wysoka wydajność czterech zbóż z ha, 25 kwintali. Nie jest to zresztą proces zakończony, ci którzy tego jeszcze nie dokonali, gromadzą środki na wzniesienie nowych, wygodniejszych domostw. Tak czyni również znany nam już, jeden z przywódców strajku, Adam Nosek.

Adam Magoń, bibliotekarz i działacz partyjny, próbował z okazji trwającej kampanii wyborczej zbilansować cywilizacyjny dorobek Krzeczowic. Z przygotowanej przez niego plastyki wyczytałem, że mieszkańcy wsi posiadają: 211 radiodbiorników, 85 telewizorów, 85 pralek i 5 lodówek. Były tam jeszcze dane, dotyczące frekwencji w znajdującym się w PGR, kinie „Kłos”, brakło mi przecież jednej liczby, która jak sądzę wypadła by wręcz imponująco, liczy obrazującą ilość nowych domów w Krzeczowicach!

WCZORAJ I DZIS...

Myślę, że zmiany jakie zaszły w życiu mieszkańców tej wsi, położonej nieco na uboczu, pośród łagodnych wzniesień ziemi przeworskiej, najplastyczniej obrazują losy ojców i dzieci.

Znany nam już gospodarz, Stanisław Pikul wspomina: „pracowałem na folwarku, w kuchni, po strajku straciłem robotę. Po opuszczeniu więzienia, w którym spędziłem szczęśliwym trafem tylko trzy miesiące, nie było dla mnie pracy w kraju. Pojechałem do Francji...”

Synowie Pikulów znają strajk i pacyfikację jedynie z opowiadań ojca (i tak zresztą nie przykładają do nich wielkiej wagi, ich doświadczenia są tak od tych opowieści dalekie!). Najstarszy z nich, murarz pracuje w Radymnie, drugi, ślusarz w Stalowej Woli, wreszcie trzeci, tokarz, w Rzeszowie.

Losy rodziny Pikulów są chyba dosyć typowe, nie tylko zresztą dla Krzeczowic. Ale nie są to jedyne drogi awansu mieszkańców wsi. Kierownik szkoły, Piłch stwierdził, że mniej więcej 70 procent absolwentów krzeczowickiej ośmiolatki podejmuje dalszą naukę. W bieżącym roku np. na 22 uczniów, tylko trzech pozostaje na wsi.

Dochowały się Krzeczowice 5 absolwentów wyższych szkół rolniczych, dwu sędziów, nauczycieli trudno policzyć. — Z każdym rokiem zwiększa się zastęp krzeczowickiej inteligencji...

I chociaż ciągle na dorobku, prawie każdemu z mieszkańców przydałoby to się i owo, temu nowa stajnia, innemu praika, jeszcze inny marzy o telewizorze, ale wiedzą, że realizacja tych pragnień znajduje się w ich własnych rękach, w umiejętności lepszego gospodarowania, w zwiększaniu dochodów z żyznej ziemi... w dodatkowych zarobkach, jakie przywozi do Krzeczowic ponad stu dojeżdżających do roboty w zakładach przemysłowych i biurach... Nie gnębi ich wizja bezrobocia, głodnych przedników, żebraczych zarobków na „pańskim”.

Pamiętają o tamtych latach. Może najładniej sformułował to dawny furman na folwarku, eksfornal, dziś samodzielny gospodarz, Józef Kozio: „Jesteśmy wdzięczni, że się tak stało, bo przed wojną to szkoda nam było o takich czasach marzyć”

Jan Grygiel

Śladami dawnych reportaży (IV)

W STRASZYDLU ZNIKNEŁY

Wieś nie ma pracy. Kryzys ekonomiczny czyni w niej straszne spustoszenia. Nęka ją przeludnienie, rozdrobnienie gruntów, zaburzenia zbytu, spółdzielczości... Chłopi ratują się przed głodem emigracją zarobkową na obczyznę. — Do takich pesymistycznych stwierdzeń doszedł młody uczyony Jerzy Michałowski po zbadaniu sytuacji ekonomicznej i społecznej wsi małopolskiej w latach 1933-34. Wsi małopolskiej, a ściślej mówiąc powiatu rzeszowskiego, gdyż na tym właśnie terenie doleżał swych obserwacji i opublikował w broszurze pod wymownym tytułem „Wieś nie ma pracy”. Powiat rzeszowski wybrany został jako reprezentatywny — wyjaśnia autor — gdyż dane statystyczne świadczą, że na jego obszarze skutki kryzysu uwidaczniają się jaskrawo. Ta skromna objętościowo książeczka, pozbawiona cienia publicystycznej pasji ujawnia w spokojnym, zbiektywizowanym tonie w oparciu o precyzyjne zestawienia, o bezsporne fakty, prawdy przerażające. W powiecie rzeszowskim na około 290 tys. mieszkańców jest 66 tys. bezrobotnych rolników zawodowo czynnych — stwierdza Michałowski „138 tysięcy ludzi odżywia się tu niedostatecznie z punktu widzenia fizjologicznego, tzn. niewystarczająco dla podtrzymania wegetacji ustroju”...

Jerzy Michałowski nie poprzestął na zestawieniu danych liczbowych, świadczących o spadaniu wydajności gruntów, o olbrzymim zadłużeniu gospodarstw chłopskich, czy o tragicznej dla chłopów relacji cen między produktami rolnymi a przemysłowymi. Wędrował po wsiach podrzeszowskich, przypatrywał się życiu ich mieszkańców, badał jak się odżywiają, ubierają, jak wyglądają ich warunki mieszkaniowe i obrazami, relacjami z tych wędrowek popierał dane statystyczne. Nie wymieniał wprawdzie ani jednej nazwy miejscowości, w których gromadził spostrzeżenia, ale dzięki niedyskrecji ówczesnego, dobrze poinformowanego publicysty Jerzego Ostrowskiego wiemy, że większość przykładów w książce pochodzi ze wsi Straszdyde. Spójrzmy więc jak odżywiają się mieszkańcy tej wsi w latach kryzysu:

„W okresie mojej bytności to znaczy w sierpniu, a więc w miesiącu największego dostatku konsumpcja ludności chłopskiej wyglądała następująco: ciepły posiłek raz dziennie — gotuje się barszcz jarzynowy i ziemniaki. Do barszczu dolewają niektórzy mleko odtłuszczone. Ziemniaki spożywane są bez tłuszczu, czasem z maślaną. Chleb konsumowany powszechnie na jesieni, w przeważającej większości matorolnych gospodarstw 1-2 morgowych, od Nowego Roku do znu jest rzadkością. Cukier na wsi nie istnieje. Większość dzieci nie widziała go nawet nigdy, chyba to formie cukierków na odpustach... Sól używa się obecnie szara, nieraz nawet czerwona, bydlęca”...

Dalej stwierdza Michałowski, iż często stosuje się u biedniejszych kilkakrotne gotowanie ziemniaków w raz osolonej wodzie. Mięsa w jadłospisie chłopskim nie ma prawie w ogóle. „Chłop je kure, gdy jest chory, lub gdy

kura jest chora” — przytacza popularne na wsi porzekadło.

Dzielenie zapalek na czworo w tym czasie od dawna już u nas przeszło w sferę legend czy metafor, a nawet żartobliwych powiedzonek. Kto by z młodych wierzył, iż tak naprawdę było. Autor broszury zauważył, że niektórzy nie mają co dzielić. Najbiedniejsi przenoszą ogień z paleniska sąsiada do swojego pieca za pomocą smolego lucywa. Na kupno ówiartki „prasówki” do paleniska (najtańszy tytoń prasowany z liści w kostki) składało się dwu palaczy. Znikło prawie zupełnie spożycie alkoholu.

Można by przytaczać cały szereg spostrzeżeń Michałowskiego dotyczących odzieży, warunków mieszkaniowych, obrotów towarowych w sklepach itd. Przeraziły one nawet burżuazyjnych publicystów. — „Wpadła mi w ręce niewielka książeczka, która jednak zaciężyła mi, jakby ważyła sto pudów” — pisał o pracy Michałowskiego Jerzy Ostrowski. „...Smutne obrazy zobaczył tu młody badacz. Tak smutne, że nie chciałem mu wierzyć i poszedłem w teren jego śladami, aby wykryć niedopatrzenia i przesady”. Ale nie odkrył. Potwierdza, że „jedyne buty, a nieraz i jedyna cieplejsza odzież — służą kolejno całej rodzinie, że w izbie mieszkalnej jest często ciepło, albo prosię, a prawie zawsze kury, gęsi i króliki. Ze zamiast mydła używa się popiołu drzewnego, że w piecu pali się tylko budyłami ziemniaków... „Któżby na przykład uwierzył, że w XX wieku, w 20 lat prawie po odzyskaniu wolnego państwa, w centrum kraju są jeszcze kurne chaty? Nie gdzieś tam na Polesiu, ale tu, w gęsto zaludnionej środkowej Małopolsce. Tak jest np. we wsi Straszdyde. A takich straszdydeł wsi polskiej jest tu jeszcze sporo...”

Raz jeszcze trzeba ruszyć w drogę śladami Jerzego Michałowskiego i Jerzego Ostrowskiego. Warto skonfrontować opinię uczonego i publicysty ze wspomnieniami mieszkańców Straszdyde z tamtych kryzysowych lat. Warto także zobaczyć tę wieś dzisiaj — po trzydziestu kilku latach od chwili ukazania się alarmującej książki. Tu znajduje jeszcze jedno potwierdzenie autentyczności wyżej przytoczonych relacji. Straszdyde nosiło przez wiele lat na sobie złą, przez siebie nie zawinioną opinię. Opinię wsi nędzarskiej, ciemnej, odciętej od świata i przemian cywilizacyjnych. To co przerażało Michałowskiego w latach 1933-1935 nie było jedynie skutkiem kryzysu. Tak było wiele lat wcześniej — nawet za „dawnych dobrych czasów” brodatego cesarza. Mówi o tym najbardziej wiarygodne źródło, sfatygowana i leciwa kronika miejscowej szkoły z niezwykłą sumiennością prowadzona od lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Kronikarze, kierownicy miejscowej szkoły, z Mterackim talentem, ze szczerością i dużym zaangażowaniem emocjonalnym kreśliли smutne losy tutejszej szkoły i wsi.

Oto zapis z roku 1907: — „...Nad stanem budynku szkolnego należałoby Jerzymaszowymi łzami zapłakać. Brak: dachu, okien, drzwi, podwaliny, podłogi i pieców — bo te są to tylko mary tychże”. Z roku 1921-22: „Wiele dzieci nie ma nawet koszul i wiele mimo mrozów chodzi boso. W klasach zimno — sale nieopalone, gdyż Rada Szkolna miejscowa nie posiada pieniędzy”. Z roku 1923-24: „Budynek szkolny pozostawia wiele do życzenia. Zniszczona ruderą — ganek na pół rozwalony. Dach dziurawy. Podczas deszczów i roztopów śnieżnych woda przecieka do klas, sieni i mieszkań nauczyciela kierującego”. I znowu melanco-

Listy DO PRZYJACIELA

„Pamięć ja niedawno, kie tu na Prądnik przyniesiono było dwoje wiersze, jakoby miały być jedne pana — Rejowe, a drugie pana Jana Kochanowskiego; wszyscyśmy je z podziwieniem wielkim chwaliłi jako trefne, jako smaczne, jako uczone; potem gdy się to odkryło, iż były czyjeś inne, hnet straciły tę cechę i zdały się barzo daleko od dobrych”.

Wieszże Przyjacielu, kie rzecz oną napisał i ile to czasu upłynęło od jej napisania? Samże Łukasz Górnicki, przeto 400 lat nałożyło się już na ów sąd chwiejny, jakby potwierdzając, że nie co literackie nie bywa od razu właściwie rozumiane, że istnieje magiczna potęga nazwisk w literaturze, że wierzymy nieskończenie tym, którychśmy uznali raz za wielkich — nieufność mamy w zanadrzu dla debutantów, dla wstępujących dopiero na Parnas. Gdyby ten sąd z „Dworzanina” nie był, jak wiadomo, spolszczeniem włoskiego arcydzieła, gdzie Rej i Kocha-

nowski znaleźli się tylko w imię większej plastyczności i przystępności obrazu — kie wie czy przez tę chwiejność oceny panów z Prądnika szesnastowieczna literatura polska nie straciłaby zdolności poety, którego w pierwszym zapale pomieszczono na równi z Janem z Czarnolasu...

Naszło mnie to wspomnienie i odszukałam dla Ciebie cytaty, bo to dziś przecie wracamy dorocznym obyczajem w Dni Oświaty Książki i Prasy — dniu szczególnym, bardziej nad inne wyniesione z racji 25-lecia PRL a nie ona na aktualności ni gorzkie dowcipie nie straciła. W sądach pozostajemy dalej ostrożni, niechętnie odburzamy bliźnich sław, wręcz nie lubimy, gdy ktoś zbyt szybko do niej docho- dzi i często, w duszy jesteśmy przeciwni tej sławie, choć głośno nie wypada nam protestować. Nie sądzę, by działo się to za sprawą zawiści, małości naszych uczuć względem utalentowanych bliźnich, tworzących wtedy swój

UPIORY

lijna uwaga z roku 1924-25: „Frekwencja jest przerażająca — prawie 60 proc. dziatwy nie uczęszcza do szkoły... Ludność już to z ubóstwa, już też z ciemnoty oddaje swe dzieci na służbę do obcych wsi pozbawiając tym samym swe dzieci dobroczynnego wpływu szkoły i nauki”

Z lat kryzysowych zapisy niewiele się różnią od poprzednich: „...Wież obecne znajduje się w skrajnej nędzy. Produkta gospodarcze płać się bardzo nisko, tak że gospodarz nie ma z czego zrobić grosza i kupić dziecku jaką lichą odzież i obuwie”. (Zapis z 1931-32 r.). W następnym roku kronikarz informuje, że spotyka się dzieci w szkole, które nie mają bielizny na sobie.

A więc to nie tylko kryzys winien, że tak się działo w podbeszowskich wioskach. W Straszylu ludzie przyzwyczaili się do tego, że ich dzieci chodzą w starych szmatach, że cieknie im na głowę w rozwalającym się budynku szkoły, że wielka bieda jest od wielu lat ich nieodłączną towarzyszką. Brakowało najniezbędniejszych środków do życia, ale za to pełno było w całej wsi duchów, strachów i upiórów wyległych z nędzy i ciemnoty, zakorzenionych głęboko w świadomości tych nieuczęszczających do mizernej szkółki chłopów. Straszyl po wszystkich wędłach, koflinach, wzgórkach, których tak wiele jest w tej rozległej pagórkowatej wiosce. Stąd chyba nawet jej nazwa — najpierw Straszyl — później Straszyl.

Slucham tych wszystkich opowieści z „dreszczykiem” w nowej, wielkiej szkole, tętniącej rozgwarem młodzieży, w jasny wiosenny dzień.

Rozmawiamy sobie o tych odległych czasach z kierownikiem tutejszej szkoły i obecnie już szczęśliwym spadkobiercą dawnych kronika-

rzy, Janem Sznajderem, z przewodniczącym Prez. GRN z Lubeni, ale mieszkańcem Straszyla Józefem Czekajem oraz z działaczem społecznym, sędziwym kuratorem z ramienia sądu dla nieletnich Leonem Słowikiem. Moi rozmówcy wyliczają miejsca i powody straszenia z humorem i lekką ironią. — „Cóż! ciemny i biedny człowiek wszystkiego się boi — zwłaszcza sił z za grobu” — stwierdza jeden z nich.

Odcień humoru jednak ginie, gdy pytam ich o wspomnienia z lat trzydziestych. Raz jeszcze znajdują potwierdzenie w całej rozciągłości te trzy wspomniane relacje. Józef Czekaj pamięta, jak trzykrotnie pieszo szedł do Krynicy w poszukiwaniu pracy i wracał z pustymi rekami. Opowiada jak to do Rzeszowa również większość ludzi ze wsi z tobołami na targ, za pracą, czy ze sprawami do urzędów wędrowała piechotą. Gdy na święta sklepikarz zakupił 50 kg cukru i kilkanaście butelek piwa dla całej wsi — musiał towar zwracać. Nie było tak zamożnych klientów. W ogóle, gdy ktoś na wesele kupił ćwiartkę piwa (25 litrów), to było tzw. „szumne wesele” — mówiło się o nim w całej wsi. Tu nie było, panie redaktorze, przed wojną ani jednego lokalu o charakterze społecznym — zebrania wiejskie trzeba było robić na wolnym powietrzu. A jak ludzie mieszkali? W całej wsi było tylko parę domów z dwiema izbami. We wszystkich pozostałych, jedno pomieszczenie mieszkalne z klepiskiem glinianym zamiast podłogi; bez komina — w tej samej izbie bydło, kury, prosiaki. Całe umeblowanie — przycz ława i jakiś koślawy stolik — opowiadała — Józef Czekaj i Leon Słowik.

Rzecz oczywista, musimy w naszej rozmowie dojść do czasów współczesnego Straszyla. I tu relacje moich rozmówców nabierają charakteru prelekcji z notatnika agitatora. Gdyby się tego nie widziało przez okno okazałej szkoły, gdybym nie przemierzyl wsi z krańca w kraniec — można by uznać opowieść o dniu dzisiejszym Straszyla za jubileuszową laurkę ku chwale 25-lecia, zbudowaną z pobożnych życzeń. Ale cyfry i fakty w pełni

sprawdzają się w tutejszym krajobrazie.

Po wyzwoleniu zbudowano około 100 nowych, przeważnie murowanych budynków. Światło elektryczne dotarło tu trzy lata temu. Wieś dorobiła się w naszych czasach punktu lekarskiego, wiejskiego domu kultury, biblioteki z czytelnią, telewizorem, magnetofonem i adapterem, młyna gospodarczego, kółka rolniczego z 4 ciągnikami, 5 agregatami omlotowymi i wieloma maszynami konnymi, agencji pocztowej, zespołu wypalania cegieł itp.

Cywilizację współczesną reprezentują w Straszylu m. in 3 samochody prywatne, dwa ciągniki, około stu motocykli i 12 telewizorów. Na brak pracy nikt tu już nie narzeka — chyba ci w „niedziele urodzeni”, lub do pracy niezdolni — dorzucą przewodniczący Czekaj. Codziennie 5 samochodów dowozi do pracy i odwozi około 200 mieszkańców wsi, a wielu korzysta z własnych środków lokomocji

Znużyło mnie to wyliczanie, mimo iż ukazywano mi osiągnięcia wioski z dumą i precyzyjną dokładnością. I za chwilę zastanowiłem się nad tym, dlaczego mnie znużyło. No jasne — przecież to są dziś dla nas sprawy oczywiste — nawet nie przypuszczamy, by mogło być inaczej. Rzeszowska wieś ma już pracę, a praca w naszym ustroju daje osiągnięcia i dostatek. Straszylde swym dorobkiem nie różni się od okolicznych wsi, od poziomu życia w województwie i kraju. Ale przebyta drogę — niestety — od sytuacji wyjściowej — od ponurego obrazu zawartego w broszurze Michałowskiego i w książce Ostrowskiego.

Zwiedzamy jeszcze raz wieś. Józef Czekaj pokazuje mi lipę, pod którą, jak głosi miejscowa legenda, żywcem pochowano niedorozwiniętą służącą, by uchronić wieś od epidemii cholery. Tak zadczydował wiejski znachor. Podobno przez wiele lat straszyl pod tą lipą. Dziś już nie straszy. Ze Straszyla zniknęły upiory, nie tylko te z rozstajnych dróg i parowców, ale także upiory głodu, nędzy i bezrobocia.

* Jerzy Michałowski: „Wieś nie ma pracy” W-wa 1935 — Instytut Pracy Społecznych.
** Jerzy Ostrowski: „Widły Wisły i Sanu”. W-wa 1938, Tow. Wyd. „Rój”.

wiersz, gdy my akurat spełniamy swoje codzienne prozaiczne obowiązki; przypisałabym raczej ten nasz nadmierny krytycyzm głęboko zakorzenionemu przekonaniu, że literaturę robią jednostki wybitnie talentowane, które na piśmie nie zwykły się rodzić. Zresztą i historia wykazała, że byli kanonicy, jak ów słynny Baka, co tylko na kpinę czystą i jako przykład upadku intelektualnego epoki zaśmiecają miejsce w historiach literatur. Dzisiejsi co prawda już nie tyle o czymś młodzieku — migdałiku pisują, co o niemożności oraz frustracji — mimo to rzecz dałaby się zilustrować wspólną parantelą pokretnego rozumowania i zawoilości formalnej, pod którą zupełnie pusto...

Przeto musimy być ostrożni w sądach, aczkolwiek nie śmieśni, bo może nam się przydarzyć rzecz odwrótnej jak owym dworzaczom z Prądniaka i wiersze pana Rejzowa i pana Kochanowskiego, nie znając autorów — możemy wrzucić w śmiecie. A wstyd wtedy większy i świadectwo sobie wystawione nie najgorsze...

Pisziesz mi o spotkaniu literackim, któregoś był świadkiem w zupełnie skromnym środowisku, z literaturą na ogół nie pobranym. I pisząc, uzalasz się nad nieznanością tej literatury. Pisziesz — co robić? A bo ja wiem? Może właśnie z uporem, z samozaparciem organizować co roku

wystawniej owe Dni Oświaty Książki i Prasy? Może zapracować do nich na serio telewizję, która by do znużenia — co znaczy w końcowym efekcie do nakłaniania — mówiła o tych sprawach, tylko o tych sprawach i mówiła nie dla odciążenia, jak to miało miejsce po inne przeszłe lata, ale z pasją i przy pomocy najlepszych? Może by czymś społecznym i za państwowe zlotówki w Lipinkach czy Jabłonkach nie jednego literata na rok — ale dwunastu, dwudziestu? Może by sprzedaż wiązank „polskiwerów” z polskimi pocketami? Może by za jednego zakontraktowanego wiewpraka, oprócz należnych zlotówek — jeszcze „Pana Tadeusza”? Może by w miejsce jęczących hipopotamów i uroczej Kasi Sobczyk przerywać telewizyjny program wierszem Gałczyńskiego, trenem Kochanowskiego, fraszką Leca, które by Holoubek, Łapicki, Hanuszkiewicz...

Cóż Ci zresztą będą dalej wymyślała pomysły, kiedy można nieskończenie o formach upowszechniania i właściwie wszystkie środki, poza wyjątkowo nudnymi, trafiają do celu. Mówi się często obecnie o literaturze zaangażowanej; mój Boże, czyż może być ona inna? Czy inna by się w ogóle liczyła? Niewiele było takich, co na zimno i bez pasji ją uprawiali; podejrzewam, że o zaangażowaniu trzeba mówić już od Homera. Dziś wła-

śnie wszyscy jesteśmy zaangażowani, pod warunkiem że dobrze pracujemy. Wszyscy poza tym jesteśmy robotnikami, bo jak to kiedyś mądrze sformułował prof. Konstanty Gryzbowski — jedni pracują mięśniami, inni pracują intelektem. Literat, pracując intelektem, angażuje w ten wysiłek siebie i idee, jaka go obsesyjnie nasza w chwili pracy. Czy jednak upowszechniamy te produkty intelektu zawsze z jednakowym zaangażowaniem? Tu już śmiem wątpić.

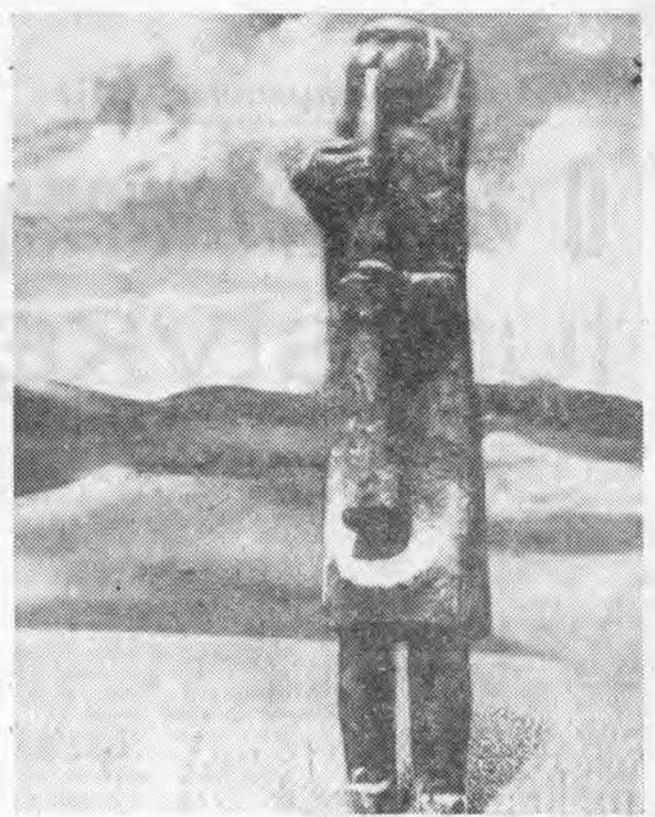
Dla mnie zaangażowanie — to w pierwszej mierze pasja. Bynajmniej nie ta kliwka, niekoniecznie ta judymowska (choć często powtarzam — współczesności, daj więcej Judymów!), ale pasja w poszukiwaniu nowych celów — ludzi, do których warto przemówić i nowych obiektów, wynikłych z ludzkiego rozumu, którymi człowieka — cel warto ostrzelać, zbombardować, zbulwersować, zaszokować, czy bodać tylko zaciekawid. Pasja w upowszechnianiu kultury — to uporczywe szukanie metod coraz nowych, coraz innych, może nawet ekstrawaganckich, ale zaciekawiających. Skłonnam dopuścić nawet takie, jakie zupełnie happeningowo zastosował niecierpliany przez mnie Niemen, kiedy wyjęczał, wykrzyczał Rapsod norwidowski i nagle okazało się, że po raz pierwszy nieznośny patos był na miejscu...

Z czego by wynikało niezbie-

że wielki musi być tylko twórca — wcale nie genialny może być ten, który tworząc upowszechnia, a i tak ostateczne wyniki będą efektywne.

Czuję z góry, że zgniewałam Cię pomysłem z „Panem Tadeuszem” przywiązaniem do kontraktacji i wrznięciem mi na odlew moje obsesyjne: najpierw mydło — później Mickiewicz. Drogę mój, ja się umiem bronić, bo też i jest w imię czego: „Pana Tadeusza” można podarować opakowanego w kolorowy papier z nadrukiem „Dni Oświaty Książki i Prasy”. Rolnik umyje ręce, Mickiewicz odpakuje i będzie go sobie miał na pamiątkę owych zaszlachtowanych już z pożyczkiem dla żołdków Krasul, Siwul i Bartków. A swoją drogą słyszałam o oborze, gdzie są same Heloizy, Abelardowie, Albertyny z tak rozlicznym potomstwem, że co najmniej księżny de Guermantes potrzeba, by rozszyfrować ich arystokratyczno-literacką genealogię...

Oczywiście, że należy zachować miarę nie tylko w sądach o cudzej twórczości, ale i w wyborze ludzi upowszechniających tę twórczość. Dlatego wykluczyłabym raz na zawsze nudziarzy, nawet z pretensjami do uczoności, bo więcej oni szkody przyniosą, niż zaszczerpić zapamiętały do arcydzieł potrafiją. Z mądrym upowszechnieniem bowiem jest tak, że powinno stosować metodę złotego środka: nie po-



JANUSZ KRAUSE — „MUZYKANT” — drzewo.

Fot. M. KOPEC

CZARNA FUTUROLOGIA

Twórcy podejmujący tematykę science fiction na ogół w czarnych barwach ukazują przyszłość ludzkości. Jeśli nawet uda się człowiekowi uniknąć zagłady atomowej, to nieunikniona jest — ich zdaniem — jego duchowa degeneracja. Zdobycze nauki i techniki uwolnią go wprawdzie od niedostatku, pozbawia jednak bodźców i przekształcą w beznamiętnego konsumenta.

W Anglii ożywioną dyskusję wywołał spektakl pt. „Rok olimpiady seksu” — pozbawiony zresztą większych ambicji artystycznych — nadany w programie telewizji kolorowej. Akcja utworu toczy się w 1986 r., kiedy ludzkość znajdzie się pod tak powszechnym wpływem i kontrolą telewizji, że niepotrzebne są już policja, rząd itp. Telewizja rozstrzyga wszelkie problemy, np. groźba przeludnienia Ziemi zostaje rozwiązana w sposób niezwykle pomysły i prosty zarazem: emitowane przez całą dobę programy pornograficzne stępią, a następnie niszcza instynkt zachowania gatunku... Społeczeństwo to dzieli się na dwie podstawowe grupy. 98 proc. ludności nie umie czytać ani pisać i spędza cały czas przed gigantycznymi ekranami telewizorów: 2 proc. — to telewizyjna elita, gardząca motlochami i przygotowująca dlań duchową strawę, m. in. wspomniane programy pornograficzne.

Spektakl wywołał protesty i autorzy zmuszeni byli podjąć dyskusję z krytykami, w której — broniąc się — udowodniali, że pokazali to, co istnieje już w rzeczywistości: np. mężczyźni noszących loki, pogardę władców TV dla masowego odbiorcy, nasycenie programów telewizyjnych seksem, sensacją i gwałtem...

winno przesadzać w uczoności, ani też skłaniać się ku pustej błyskotliwości. Bowiem z umysłem nieukształconym smakowo też tak się dzieje, że przyjmuję w miarę mądrości i w miarę błyskotliwości. Ze chce przyśwoić minimum wiedzy przy pomocy niezbędnej erudycji, fakty mieć spreparowane wespół z anegdotą, trudności wymieszane z urokami, piękno języka literackiego ze swobodą gawędy.

Coś tak jak w tej radzie, którą w Owidiuszowych „Metamorfozach” Słońce daje swemu woźnicy Faetonowi:

„Jeśli wzniesiesz się zbyt wysoko, spalisz siedzibę niebieską; jeśli opadniesz zbyt nisko, obrócisz ziemię w popiół. Nie jedź za nadto na prawo, wpadłbyś w konstelację Węża; nie jedź za nadto na lewo — wpadłbyś w konstelację Ołtarza; trzymaj się między nimi dwiema”.

Owo ostatnie, pełne umiaru „inter utrumque tene”... mogłoby być przepięknym w właściwe podejście do słuchacza. Mogłoby — i tutaj dopiero daję Ci broń do ręki — odyby nie było tak trudne...

Co sobie rozważ w majowy dzień kiermaszu i popędz między twórców, pooglądaj ich z bliska, nabieraj autografów. bo to szlachetne hobby zatrzymuje nieco dłużej naszą pamięć przy nich, ody zdarzy się smutnie, że któś zamknie już na wieki.

KRYSTYNA

Justyna Woś

Rzeszowskie zaprasza (III)

O zorganizowaną turystykę

Mała grupka organizatorów turystyki dała znać o swoim istnieniu — przygotowaniem pierwszego rajdu pieszego z Łańcuta przez 399-metrowe wzgórze „Marii Magdaleny” do... Rzeszowa. Pomysł takiej wyprawy zrodził się na I Ogólnopolskim Rajdzie Olsztyńskim, na którym rzeszowskie PTTK reprezentowało 12 osób. Tam obudziły się sentymenty lokalne wywołujące ambicje turystycznego poznania własnego regionu. Trójka: L. Pomorski, J. Skobla i W. Ziemiński — ruszyli na oznakowanie szlaku. Był rok 1952. O Bieszczadach wtedy jeszcze się nie śniło; w rzeszowskich górach pachniały jeszcze swądem zgliszcza, sterczały kikuty spalonych wsi — a na wagabundę w tej zamarłej krainie trzeba było nie tylko odwagi, ale i specjalnego zezwolenia. Toteż „odkrywcą” inwazję rozpoczęło PTTK nie rzeszowskie, lecz krakowskie mające za sobą doświadczenia jeszcze z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, mocniejsze tradycje i silniejszą grupę z Władysławem Krygowskim na czele (autorem pierwszego przewodnika „Bieszczady”).

Rzeszowscy pionierzy rozpoczęli pracę od podstaw. Nawet ten skromny rajd „Łańcut — Rzeszów” jakkolwiek z perspektywy czasu wydaje się mało znaczącym epizodem — to jednak tam rozdziła się turystyka z biegiem lat żywiołowo nasilająca się, aby stać się współczesną zdobyczą

ludzi pracy. Wtedy jeszcze zwolenników krajoznawczej wędrowniki liczyło się bez kłopotu na palcach: Edward Brydak, nieżyjący już Stanisław Piątek, Jan Kalisz, Stanisław Król, Lucjan Pomorski, Władysław Ziemiński i niewielka garstka innych.

Nie był to okres dobrej prosperity dla turystyki, rozumiano ją często jako wymysł i kaprys elity nie przynoszący korzyści ogółowi. Zakłady pracy nie widziały celu w wędrownkach, toteż Towarzystwo Turystyczno - Krajoznawcze nie wykroczało szerzej poza granice swojej organizacji.

Dla kogo jest turystyka? To pytanie musiano sobie zadać dość wcześnie, skoro PTTK rozpoczęło poszukiwanie dróg porozumienia i zacieśniania sojuszu z różnymi instytucjami, zakładami pracy, szkołami itp. Wydawało się, że zwrotnym momentem, który podniesie rangę Towarzystwa będzie uchwała Sekretariatu CRZZ w 1955 r. uznająca PTTK za głównego organizatora turystyki i krajoznawstwa. Od papierowej decyzji do realnego kształtu czynu — to trudny do przebycia szlak. Rady Zakładowe mimo zdógnanego zalecenia niechętnie patrzyły na działaczy „petetekowców”, niełatwo też wypuszczały ze swoich rąk monopol na organizowanie wolnego czasu załóżce pracującej. Jeszcze dziś w wielu wypadkach obserwujemy upiorną masową turystykę — w najlepszym wypadku z transporterami piwa.



Fot. D. KWIATKOWSKI

Niewiele jest w naszym województwie zakładów, które oddały kołom PTTK priorytet w przygotowywaniu turystycznych imprez. Najlepsze koła już od dawna działają w WZSP, WSK Mielec, WSK Rzeszów, w Fabryce Srub w Łańcutie, Zakładach Metalowych w Nowej Dębie, Fabryce Maszyn i Sprzętu Wiertniczego w Gliniku. Wiele z tych kół absorbujących swoją pracą w różnych komisjach turystyki kwalifikowanej potężną grupę pracowników — przekształciło się w oddziały zakładowe PTTK. Ale obok tych „wzorcowych” przykładów mamy w województwie około 2 tysięcy zakładów zatrudniających od 100—200 pracowników, a w których nie udało się dotąd zorganizować kół turystycznych.

Jakoś trudno przekonać, że formy zorganizowanej turystyki kwalifikowanej nie są wbrew pozorom tworem hermetycznie zamkniętym dla wybranej garstki pracowników. Chociażby przy-

kład WSK Rzeszów w sposób przekonujący i wyrazisty ukazuje całą rozpiętość i różnorodność turystyki — z której watorów korzystają setki i tysiące — od inteligencji technicznej do robotnika fizycznego.

Założone jeszcze w 1954 roku w WSK małe koło PTTK umiało wytworzyć wokół siebie atmosferę zainteresowania i dzisiaj to prawie „potentat” z najlepszą wypożyczalnią sprzętu turystycznego, oddział, który kieruje trzema klubami i komisjami: narciarską, pieszą, kajakową, samochodowo - motorową, kolarską, żeglarską i wybitnie specjalistyczną: taterniczą. W sumie skupiają one 2 tysiące zarejestrowanych członków. Oczywiście spod szeptowej statystyki uciekają te liczby osób, które nie stanowią zespołu PTTK, ale korzystają z wielu imprez; rajdów, zlotów, spływów itp.

Przychylności zakładu dla działalności PTTK nie wymaga uzasadnień. Sprawa jest prosta i

sprowdza się do zrozumienia pośrednich korzyści, jakie przynosi produkcja w zakładzie turystyka. Dlatego też nie ma tutaj wyłączności w działaniu: albo rada zakładowa, albo PTTK. Liczy się coś więcej — współpraca tych instytucji, które zrobiły już kawałek dobrej roboty, szczególnie w latach 1963—1967. Zwykła wycieczka autokarowa organizowana przez radę jest programowana przez pilotów, przewodników bądź kierowników z PTTK. Te przemysłowe, dobrze zaplanowane akcje mają już swoją markę, stąd żywiołowy entuzjazm i masowość imprez. Prawdą jest, że 60 proc. uczestników tych imprez stanowią pracownicy umysłowi WSK, ale prawdą jest też, że są wydziały (np. gospodarki narzędziowej i obróbki mechanicznej) — gdzie potwierdza się reguła, iż epidemia turystyczna opanowała w 90 procentach robotników fizycznych.

Atrakcyjność turystyki w pojęciu aktywów WSK nie polega tylko na przygotowywaniu imprez z rozmachem. Dużo wysiłku włożono dla rozpropagowania form tzw. „małej turystyki”, jakże często lekceważonej. W WSK — udało się letni eksperyment podstawić pod bramę zakładu autokaru po godzinach pracy. Wyjazdy nad rzekę, do lasu z pilotami PTTK nie narzekały na brak frekwencji. Także zimą „białe niedziele” — ściągają do Babcicy setki entuzjastów śniegowej szaleństwa. Tam bowiem w czynie społecznym PTTK, dzięki pomocy zakładu uruchomiono wyciąg narciarski. Dodatkową zachętą były „krusy” i szkółki jazdy bezpłatnie prowadzone przez instruktorów komisji narciarskiej.

Nie jest to wyjątek — bo w całej działalności oddziału PTTK są obsadzone tylko dwa etaty (administracyjne). Cały „sztab” łącznie ze wspomnianym już L. Pomorskim — popularnym ojcem turystyki w WSK, Edwardem Gratą (przewodniczącym klubu „Wagabunda”), Bolesławem Szubertem, Lesławem Nablem (zapałonym żeglarzem) i wreszcie prezesem oddziału Stanisławem Kozdrańskim — pracują społecznie.

Nic dziwnego, że w ogólnym bilansie osiągnięć WSK w Rzeszowie obok tylu ważnych dziedzin życia załogi, turystyka i krajoznawstwo znajdują niebagatelne miejsce.

Zainteresowanie PTTK nabiera znaczenia po V Zjeździe, kiedy zwiększają się urlopy i faktem się staną wolne od pracy soboty. Sprawa rekreacji, regeneracji sił, masowości wypoczynku — to nie tylko zadanie dla rady zakładowej. Działalność Towarzystwa wyrosła już z ram pracy dla małego kręgu. Staje się zjawiskiem społecznym i trzeba na te sprawy spojrzeć także od strony rad narodowych, które winny zająć się opracowaniem głównych kierunków turystyki na Rzeszowszczyźnie.



Nr 1

- 5) Podaj tytuł filmu zrealizowanego według powieści Jana Gerharda pod tytułem „Luny w Bieszczadach”?
- 6) Na motywach książki „Barwy walki” został opracowany scenariusz do filmu. Wymień imię i nazwisko autora książki.
- 7) Prezentujemy fotos z filmu „Ogniomistrz Kaleń”. Reżyseria Ewa i Czesław Petelscy. Na zdjęciu bohater roli tytułowej. Jak brzmi imię i nazwisko aktora?
- 8) Według powieści Ignacego Kraszewskiego został nakręcony film w reżyserii Jerzego Antczaka. Jaki jest tytuł filmu?
- 9) Film pt. „Matka Joanna od Aniołów” reżyserował J. Kawalerowicz. Wykonawczynią tytułowej roli była Lucyna Winnicka. Kto jest autorem opowiadania, według którego opracowano scenariusz filmowy?
- 10) Jaki jest tytuł pierwszego filmu zrealizowanego w 25-lecie według powieści Bolesława Prusa?

Warunki konkursu:

Rozwiązania należy przysyłać na kartkach pocztowych do dnia 31 maja pod adresem: Centrala Wynajmu Filmów Rzeszów, ul. Rejtana, z dopiskiem: „Konkurs pt. „Adaptacje polskich dzieł literatury w filmie polskim”.

Uczestnikom konkursu, którzy nadeślą trafne odpowiedzi drogą losowania zostaną przyznane następujące nagrody:

- 1) zegarek na rękę
- 2) aktówka skórzana
- 3) komplet do pisania
- 4) 5 nagród książkowych w postaci bonów wartości 50 zł każdy.



Nr 2

KONKURS — 25 PRL * KONKURS — 25 PRL * KONKURS

DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY — MAJ 69

Centrala Wynajmu Filmów, Wojewódzki Zarząd Kin i „Widnokrąg” w Rzeszowie organizują konkurs pt.

„ADAPTACJE POLSKICH DZIEŁ LITERATURY — W FILMIE POLSKIM”

W 25-lecie Polski Ludowej film nasz zrealizował wiele pozycji przenosząc na ekran cenniejsze dzieła literatury klasycznej i współczesnej. W maju w województwie naszym odbędzie się przegląd tych filmów z okazji imprezy „Kine-matografia Polski w 25-lecie PRL”. Ponieważ filmy te cieszą się dużą popularnością wśród widzów zapewne konkurs nie sprawi trudności uczestnikom.

PYTANIA KONKURSOWE:

- 1) Wymień przynajmniej dwie adaptacje filmowe według powieści Henryka Sienkiewicza, które oglądnięli widzowie w Polsce Ludowej?
- 2) Kto odtwarza rolę Izabeli Łęckiej w filmie według powieści Bolesława Prusa „Lalka”?
- 3) Oto fotos filmu „Pan Wołodyjowski”. Podaj imię i nazwisko aktora, który wykonywał rolę tytułową (na zdjęciu).
- 4) Jaki jest tytuł pierwszej po wojnie ekranizacji dzieła Stefana Żeromskiego?

Ryszard Dzieszyński

Gorlicki Janosik

Opodal Gorlic znajduje się duży cmentarz wojskowy, stanowiący pozostałość po I wojnie światowej. Kiedyś w tym miejscu stały domy i gospodarstwa wsi Meina. Po wypadkach, które poniżej opiszę, wieś została przeniesiona na inne miejsce.

W latach osiemdziesiątych XVII wieku, w czasach panowania króla Jana III Sobieskiego, żyła w tej wiosce biedna wdowa z dwójkiem dzieci: dziewczynką i chłopcem. Uprawiała ona mały kawałek gruntu, co ledwo starczyło na chleb dla niej i dla dzieci. Aby więc zarobić jeszcze trochę grosza chodziła sprzątać na plebanie do miejscowego popa. Aliści pewne go razu pop posadził ją o kradzież zwoju płótna. Nie potrafił wszakże udowodnić jej tej kradzieży. Zły na nią, że nie przyznała się i że nie odzyskał swojej straty, zaczął prześladować ubogą wdowę. Opinia publiczna wsi stanęła po jego stronie. Chłopi wytykali wdowę palcami i nazywali ją złodziejką. Kobieta ciągle chodziła zapłakana, skarżąc się na swą dolę przed dziećmi i zaklinając syna, aby pomścił jej krzywdę, gdy dorosnie.

Syn imieniem Osip, wołany zdrobniale Sipko, wziął sobie żalę matki do serca. Mały chłopak biegał po wsi i odgrażał się ludziom, że niech on tylko dorosnie, to im wszystkim pokaze! I ludzie zaczęli się obawiać 12-letniego mlókosa, na serio. Ktoś rzucił myśl, aby go zabić. Pogłoski o planowanym zabójstwie zaczęły krążyć po wiosce i matka obawiała się o los syna, przebiegła go w sukienki siostry, a córkę ubierała w strój męski. Dziewczynkę znalezione pewnego dnia martwą. Mordercy wzięli ją za Osipa. Oczywiście pozostali oni nieuchwytni, za mordercami stała bowiem cała wieś i ja należy obciążyć zbiorową odpowiedzialnością za mord.

Wkrótce potem umarła matka i Sipko został sam. Według obowiązującego prawa małoletnim sierotą miała opiekować się gromada, na czele z popem. Gromada na walnym zebraniu postanowiła oddać go do jednego z gospodarzy, który utrzymywałby go do czasu uzyskania pełnoletności, a Sipko świadczyłby w zamian darmową robotę. Ponadto gospodarz miał być jego wychowawcą i pracować nad przywróceniem go do wiejskiej społeczności, wykorzystując w nim pragnienie zemsty.

Ale gospodarz był dla Sipki niedobry. Przeciągał go pracą ponad siły, znęcał się nad nim, bił go i głodził, w zimie posyłał go do odległego źródła po wodę. Chłopak biegł skulony i zmarnięty, a potem dźwigał pełne stągwie wody, omal nie upadając pod ich ciężarem. Nieraz gorzko oblatkiwał swoją dolę, ale był bezradny.

Pewnego dnia przywłókł się do źródła, usiadł na kamieniu i zapłakał. Legenda mówi, że zjawił się wówczas siwy starszy człowiek i spytał o przyczynę płaczu. Sipko opowiedział mu o swoich kłopotach, a wtedy starszek krzyknął:

— „Nie daj się ludziom! Ty jesteś silny, tylko sam o tym nie wiesz!”

Sipko zdziwił się. — „To niemożliwe!”

— „To napij się wody ze źródła i chwyć się tego buczka” — zachęcił go dziadek. Sipko spełnił jego życzenie, ale buk ani drgnął.

— „Napij się jeszcze raz!” — zachęcał go dalej starszek.

Sipko napił się i znowu próbował swoich sił. Tym razem z drzewa posypały się gałęzie. Gdy po raz trzeci tyknął wody — lekko wyrwał drzewo z korzeniami.

— „Pod strzechą szopy u twego gospodarza schowana jest cu-

A Osip uzbrojony w cudowną szablę osiadał gospodarskiego konia i ruszył na wieś załatwić porachunki z gromadą.

Akurat dzwony dzwoniły na rezurekcję i zewsząd schodzili się ludzie na nabożeństwo do cerkwi. Gdy już wszyscy znaleźli się wewnątrz, łącznie z popem, Osip wjechał na koniu do cer-



Rys. J. SIENKIEWICZ

downa szablą — poinformował go starszek. — Jeśli zawiniesz nią w powietrze, twój wrogię padną martwi!”

Potem określił mu głowę szmatą, zakazując ją kiedykolwiek zdejmować i powiedział:

— „A teraz żegnaj! Nie jesteś już Sipka, jesteś Osipem, a imię twoje wkrótce stanie się sławne!”

W ten sposób Osip został pasowany na człowieka dorosłego. Wrócił szybko do domu, próbując po drodze świeżo nabytej siły i dziwiać się drzewom, które wyrwał z korzeniami. Gospodarz czekał już na niego z ogromną łagą w lapie. Jakież było jego zdumienie, gdy słabowity dotąd parobek zamiast uciekać przed jego gniewem, rzucił się i powalił go jednym uderzeniem pięści.

kwi, machnął szablą — i cała ludność padła trupem. Zbyszczona cerkiew zapadła się pod ziemię. Na pustym polu został tylko Osip zdumiony reakcją jego cudownej szabli. Już miał odejść, gdy spostrzegł leżące na ziemi „carskie wrota” — ikonostas. Wziął je na plecy, jako że był człowiekiem pobożnym, wsiadł na konia i pojechał do lasu. Był to jego pierwszy łup.

Osip został zbójnikiem. Grasał samotnie, na drodze prowadzącej przez Kornuty, Barwinek i Ferdel — do Bieca. Napastował okoliczne dwory i podróżującą szlachtę. Zebrał dużo skarbów aczkolwiek pomny ubóstwa matki, większość łupów rozdawał ubogim wieśniakom z okolic Gorlic. Rosta sława hojnego zbójnika, obrońcy uciśnionych, leśnego samotnika, walczącego z regu-

larnymi oddziałami wojska, które król wysłał na interwencję miejscowej szlachty. W walce z nim poległo wielu królewskich dragonów. Osip poubierał drzewa, pocięte na wysokość człowieka w mundury zabitych żołnierzy i w ten sposób zwodził ściągając go konnice.

Osip miał dwie kryjówki, w których ukrywał swoje skarby. Pierwszą znajdowała się w skalnej grocie, położonej w tzw. Skalnym Lesie na granicy Bartnego i Przegoniny. Wejście zakryte było kamieniem opartym na dragach. Gdy Osip wychodził na zewnątrz, podrywał dragi i kamień zapadał się we wgłębienie, tak że nie było widać otworu. Kamień był tak ciężki i duży, że tylko Osip mógł go podnieść. Drugi schowek znajdował się na terenie lasów koło Fuluszy na tzw. Sypkowej Młacie. Ogromny las szumi olbrzymimi jodłami i bukami, na których gnieźdzą się czarne bociany, Sypkowa Młaka — to głębokie bagno, w środku którego znajdowała się studnia z wejściem do schowka Osipa.

Mimo poparcia miejscowej ludności, wokół Osipa coraz bardziej zacieśniał się pierścień tropiących go żołnierzy. Pewnego dnia ściągający wpadli na jego trop. Osip zaczął uciekać. W momencie, gdy wskakiwał do swej groty, dowodzący oblawa oficer ciał go szablą w szyję. Ciało wpadło do piwnicy, kamień zasunął się, a głowa potoczyła się pod nogi oficera. Zerwał on szmatę z głowy Osipa i rzekomo okazało się wtedy, że zbójnik miał włosy ze szczerzego złota.

Głowę zbójnika posłano na misie królowi do Wilanowa. Ale oficer, który zabił Osipa zamiast nagrody został ukarany, ponieważ miał rozkaz schwytać zbójnika żywcem.

Grota Osipa ze skarbami pozostała nieknięta. Co jakiś czas kamień miał rzekomo odsuwać się samoczynnie w celu przewietrzenia i przesuszenia skarbów. Miał je pilnować wąż z koroną na głowie. Miejscowi ludzie opowiadają, że pewnego dnia przechodziła tamtędy kobieta z dzieckiem na ręku. Zobaczyła otwartą grocie, weszła do środka i ujrzała leżące skarby. Położyła dziecko na jednej z beczek i zaczęła skarby wynosić w zapasce. W pewnej chwili, gdy wracała po nowy ładunek, zastała kamień już zawalony...

Kamień ten położony w Skalnym Lesie pokazują miejscowi ludzie do dziś. Natomiast Sypkowa Młaka, czyli bagno wraz ze studnią — już nie istnieją. Na tym miejscu rozpościera się łąka.

Miejsce, gdzie znajduje się obecnie cmentarz wojskowy, a kiedyś leżała wioska, stało od czasów tamtych wydarzeń puste, zarosnięte chwastami, nawet nie pasano tam bydła. Podobno co nocnie na rezurekcję słychać było dzwonienie dzwonów, na pamiętkę owej zbyszczzonej przez Osipa cerkwi. Po bitwie pod Gorlicami postanowiono wyciąć drzewa i krzaki. Kopiec mogiły nie znaleziono jednak żadnych pamiętek po pamiętnym wydarzeniu.

Dzieje gorlickiego Janosika cokolwiek różnią się od biografii Janosika podhalańskiego. Osip pochodził z ubogiej rodziny, ojciec Janosika był bogatym gazdą, Osip właśnie z takimi ludźmi padł w konflikt. Sipko został zbójnikiem, ponieważ popełnił zbrodnię, która w gruncie rzeczy była wymierzaniem sobie sprawiedliwości za niewinne posadzenie i szycanie matki oraz za śmierć siostry, jeśli tej sprawiedliwości nie zadośćuczyniły szlacheckie sądy. Janosik został zbójnikiem z nudów, z nadmiaru fantazji, przy zahamowaniu pobudek

moralnych. Osip nie chodził i nie tańczył po karczmach, jak to robił Janosik, nie bawił się w wielmożę, nie rozrzucił pieniędzy na lewo i na prawo, a zdobyte łupy rozdawał ubogim nie dla zaspokojenia własnej próżności, ale dlatego, że sam zażył kiedyś biedę i odczuwał z nimi solidarność klasową. Na koniec Osip zginął w walce, Janosik dał się wziąć żywcem i zmarł śmiercią niehonorową, powieszony na haku, za żebraka.

A mimo to imię Janosika stało się głośnie na pół Europy. Układano o nim opowieści, poematy i pieśni. Uwieczniał go dziesiątki artystów. Imię Janosika zrosło się z legendą Podhala.

A Sipko? Opowiada o nim jedynie lokalna legenda ludowa, która zanotował przed trzydziestu laty Witold Fusek. Pamiętają ją starzy ludzie z okolic Gorlic.

Czy zbójnik Osip nie jest postacią sympatyczniejszą niż podhalański Janosik!

Kronika filmowa

Film o radzieckich kobietach

Autor scenariuszy znanych filmów o Leninie, Aleksiej Kapler, opracował scenariusz złożony z trzech nowel, a poświęcony losom rosyjskich kobiet. Akcja pierwszej noweli rozgrywa się w 1905 r., drugiej — w 1924, a trzeciej — wspólnie. Bohaterkami są przedstawicielki trzech pokoleń tej samej rodziny moskiewskich tkaczy.

„Różowe i czarne” Leloucha

Claude Lelouch kończy przygotowania do filmu pt. „Różowe i czarne”, w którym wystąpi Simone Signoret oraz Jean-Claude Brialy. Akcja filmu rucona ze stanem na tło polityczne, a zdjęcia nakręcone będą zarówno w Paryżu i okolicy, jak też w Tokio, Hongkongu, Moskwie, Nowym Jorku, Londynie i Amsterdamie. W dalszych planach Leloucha jest „Historia miłości”, film, w którym wystąpią Belmondo i Annie Girardot.

„Pieńko pustyni”

Walki wojsk alianckich z niemieckim korpusem dowodzonym przez Rommela stanowią temat wielu filmów. Ostatnio włoski reżyser Nanni Loy przystąpił do zdjęć filmu zatytułowanego „Pieńko pustyni”. W głównych rolach wystąpią: Robert Hossein, André Castelot i Mario Adorf.

M. Mercier w filmie Godarda

Znana polskim widzom markiza Angelika — Michele Mercier ma najwyraźniej dość prztygod, ponieważ i kostiumów historycznych, nawet tych mocno skąpych. Aktorka ma zamiar wystąpić w filmie bardziej ambitnym — „Niepokoję” Jean-Luc Godarda. Będzie to rodzaj westernu, a Mercier grać ma w nim rolę młodej żony, wpłatającej w ponurą intrygę. Dla „Markizy” udział w filmie Godarda to duża szansa artystycznego awansu.

(Kt — PAP)

Jak studiować?

W ubiegłym tygodniu zamieściliśmy wypowiedź pt. „Akademik jak w naukach tak i w postępowaniu powinien się doskonalić — czyli Jak studiować?” w której pominięto nazwisko Tadeusza Wojnara. Autora i czytelników przepraszamy za to przykre niedopatrzenie.

Z cyklu: Problemy, polemiki, dyskusje...

Władysław Misuina: PERSPEKTY. WY WYŻYWIENIA ŚWIATA DO ROKU 1985. KIW. s. 156, cena 8 zł. Andrzej Siciński: PROGNOZY A NAUKA. KIW. s. 208, cena 10 zł. O futurologii i jej metodach. Longin Pastusiak: DEMOKRACJA PO AMERYKAŃSKU. KIW. s. 148, cena 8 zł.

Seria „Sowy”:

Bohdan Węgrzyn: SAMOCHODY PRZYSZŁOŚCI. MON. s. 168, cena 10 zł. Stefan Weinfeld: W POSZUKIWANIU INNYCH ŚWIATÓW. MON. s. 148, cena 13 zł. Ryszard Szepke: PROMIENIOWANIE JEST WŚRÓD NAS. MON. s. 180, cena 14 zł. Bernard Buśko: ELEKTRONICZNE MASZYNY CYFROWE. MON. s. 196, cena 11 zł. Stefan Brudny: WSPÓŁCZESNE TRANSPORTY OPANCERZONE. MON. s. 226, cena 12 zł.



Paweł Kaleniczko: POLACY W REWOLUCJI PAZDZIERNIKOWEJ I WOJNIE DOMOWEJ NA UKRAJINIE 1917—1920. Przel. I. Szczyrba. KIW. s. 296, cena 30 zł.

Obszerne i prawie dotychczas nie znane materiały zaczerpnięte z obwodowych, partyjnych i państwowych archiwów Ukrainy.

Wiktor Lemiesz: MIEJSCA MARTYROLOGII NA ZIEMI LUBUSKIEJ. Wyd. Poznańskie. s. 174, cena 12 zł. Autor omawia kolejno obozy koncentracyjne i wiewienia, obozy jeckie oraz karne i inne.

Władysław Misuina: WSTĘP DO POLITYKI ZBOZOWEJ. KIW. s. 264, cena 30 zł.

Na tle ogólnoswiatowej gospodarki zbożem nasze sprawy wewnętrzne. Jan Fachoński: LEGIONY POLSKIE. Prawda i legenda. 1794—1807. Tom I. Działalność niepodległościowa i początki Legionów 1794—1797. Wyd. MON. s. 544, cena 65 zł. Czwórka. Płotno.

Starannie wydana pozycja zawiera oprócz wstępu również spis źródeł, liczne ilustracje.

Władysław Ważniński: WALKI PARTYZANCKIE NAD NIDĄ. 1939—1945. Z dziejów walki podziemnej na ziemi Miechowsko-Pińczowskiej. MON. s. 400, cena 45 zł. W serii: Wojna wyzwolenicza narodu polskiego. Ilustracje. Czwórka. Płotno.

Jerzy Mańkowski: NAJPIEKNIJ UMIERA GAŁĄZ. Wyd. Poznańskie. s. 216, cena 17 zł.

Współczesna powieść poznańskiego dziennikarza telewizyjnego. Konin — jego problemy, ludzie i konflikty. Pisane w formie nowel o ludziach łączyjących obszarem Konina.

Barbara Seidler: BATALIA O ŻYCIE. Iskry. s. 116, cena 10 zł. Reporterska powieść o pracy lekarzy. O przeszczepieniu nerki. O

ludziach oczekujących na tę operację. O tych, którzy jej nie doczekają. Ciekawa lektura.

Ferenc Santa: ZDRAJCA. Przel. C. Mondral. PIW. s. 140, cena 10 zł. Pisarz węgierski, popularny poza granicami swego kraju. Znany i u nas. Powieść mówi o względności prawdy. Ciekawa forma literacka. Głęboki humanizm.

Roy Newquist: KONTRAFORT. Wstęp: Ryszard Frelek. Przel. Maria Zborowska. KIW. s. 208, cena 15 zł.

Są to rozmowy, których tematem są sprawy twórczości pisarskiej, dziennikarskiej, teatralnej, nieraz filmowej. Wśród rozmówców są: Caldwell, Capote, Lee, Shaw, Stone i inni.

Ramon Jose Sender: MIEJSCE CZŁOWIEKA. REQUIEM DLA HISZPAŃSKIEGO CHŁOPIA. Przel. E. Matuszewski. PIW. s. 220, cena 18 zł.

W cyklu „współczesna proza światowa” dwie krótkie powieści uznane przez krytykę światową za najlepsze dzieła tego pisarza starszego pokolenia. Lewicowego. Obecnie mieszkającego w Nowym Meksyku, gdzie wykłada literaturę hiszpańską.

Irving Stone: JACK LONDON. ZEGLARZ NA KONIU. Wyd. II Przel. K. Piotrowski. PIW. s. 360, cena 23 zł.

Jest to, jak sam tytuł wskazuje, zbeletryzowana biografia Jacka Londona. Napisana z talentem.

Eugeniusz Kabat: PRZYGODA Z AGNIESZKĄ. Iskry. Wyd. III. s. 164, cena 10 zł.

Ciekawa dla nas również i dlatego, że akcja tej powieści rozgrywa się w Bieszczadach.

Marian Brandys: OFICER NAJWIĘKSZYCH NADZIEL. Iskry. s. 168, cena 9 zł. Wyd. IV.

Reportaż literacki. Nosi nadtytuł: Cztery tajemnice Sułkowskiego. Wydanie popularne.

Stanisław Lem: OPOWIADANIA. Wyd. Literackie. s. 290, cena 23 zł. Tom zawiera jedenaście opowiadań naszego znakomitego pisarza futurologisty, drukowanych wcześniej w innych zbiorach.

Roman Bratny: KONTRYPUCJA. Opowieści i opowiadania filmowe. Iskry. s. 544, cena 30 zł. Tom zawiera obok tytułowego jeszcze utwory: Naganiacz, Śniegi pływają, Sześćdziesiąt torturowani. Życie raz jeszcze. Liczne foty.

Kartki dla Ewy

DROBIAZGI

Są takie dni, kiedy człowiek wstaje żółty jak cytryna. W głowie ćmi, w plecach strzyka i żołądek się przewraca choć wczoraj jadłyśmy tylko kaszkę na mleku.

Przy śniadaniu oblewamy się wrzącą herbatą, lecząc oczka w najlepszych pończochach, mąż złości się o urwane guziki. Prędko uzupełniamy braki wbijając sobie przy okazji igłę pod paznokcie. Boli okropnie — nie tyle ręka co serce, ponieważ nikt z domowników nas nie żaluje. Słowa ciepłego nie powiedzą, krzyczą tylko, że kram, bałagan i w ogóle wytrzymać trudno.

W takim dniu dzieci spóźniają się do szkoły. Łapią dwóje z prac ręcznych, gdyż mama w porę nie dostarczyła drutu na uchwyty do papieru toaletowego. Gdzie można dostać taki drut? Ba, gdybym to wiedziała! Wtedy moje dzieci nie miałyby kłopotu ze zwitkiem papieru rodem z Fordonu.

Nie najlepiej też wiedzie nam się w pracy. Szef ruga, petenci mają wielkie wymagania, koledzy patrzą koso i mówią: „Pewnie się Zośka z mężem pożarła, bo okropnie wściekła”.

Rozrabiają nas, ile wlezie, na wszystkich frontach. Zniechęcone i podenerwowane usiłujemy zapobiegać złym nastrojom. Łatamy sprawy dnia powszedniego, gdyż bardzo nam one leżą na wątrobie. Stwierdzić trzeba, że nie zawsze nam się to udaje, choć pedanteria tkwi w naturze większości kobiet. Możemy tylko pogłodzić, pocieszyć się wzajem, zapytać dlaczego.

W języku potocznym kobiet od słowa „dlaczego” zaczyna się mnóstwo zdań. Dlaczego np. nie mogę nigdzie kupić kompletu bielizny dla pewnego 13-letniego chudzielca. Czyżby handel nie zauważył istnienia podlotków? A może właściwe koszuliny bez wstawek i fintyfluszków bywają w sklepach wtedy kiedy ich człowiek nie szuka? Trzeba być matką przewidującą, biegać po mieście z gotówką w garści, kupować co popadnie. Kiedyś się przyda! Podczas styczniowych mrozów zaopatrzę dzieci w opalacze i trykotowe bluźeczki potrzebne im na kolonie. Sobie kupię czepek kąpielowy naprawdę ochraniający włosy. Bez troski o dzieło fryzjera będę się plawić w wodzie. W lipcu, a może w sierpniu poszukam gimnastycznych pantofli, szortów i szkolnego fartuszka. Teraz dziury nikomu nie wadzą. Rok szkolny się kończy, estetyka poczeka na następny sezon.

Postaram się być kobietą gospodarną. Przy większej forsie zakupię cetnar proszku „Jawox”. Nie będą mi wytykać zasmolonych rondli i szeptać po kątach — niechlują. Nie lubię kiedy mówią o mnie brzydko, przejmuję się i zaraz jestem wściekła o byle głupstwo. Choć inni twierdzą, że do głupich drobiazgowców można się przyzwyczaić. Dlaczego mam się przyzwyczajać do ekspedientki sklepu spożywczego drapiącej się w głowę, skoro budzi to we mnie niemiłe skojarzenia. Albo do kelnerów męczących keciuk w zupie, do sprzedawczyń wędlin liczących pieniądze rękami krojącymi przedtem szynkową wólową.

Nie lubię, kiedy smalec pakuja mi w skrawek papieru wielkości znaczka pocztowego, kiedy kartofle i chleb dzwigam w jednej siatce bez opakowania, kiedy muszę pamiętać o nylonowych workach, słoikach i torebkach, bo w sklepie ich nie dadzą. Muszę stosownie ubierać się do kupna rozbratli i kaszanki dla pieska. Muszę pamiętać o tysiącu drobiazgowców, których nikt za mnie nie zrobi. Czasem ich nienawidzę!

Nienawidzę także pajaków. Są obrzydliwe i bezszelестnie łażą po ścianach. Francuzi jednak twierdzą, że pajaki przynoszą szczęście. Zastanowię się nad tym głęboko, zamknawszy się przedtem w łazience. To jedyne spokojne miejsce w hałaśliwym mieszkaniu. Może nikt się nie będzie dobijał. Spojrzę więc w lustro, zapytam sama siebie — życie, dlaczego mi klody rzucasz pod nogi? I uśmiechnę się bo jutro będzie inny dzień. Bega

Dowód

Francois Sagan stwierdziła kiedyś: — Wszyscy mężczyźni są ogromnie przewrażliwieni. — Czyżby? — spytał z niedowierzaniem jeden z przyjaciół. — Oczywiście! — odparła pisarka. — Wystarczy ich zdradzić, a już się obrażają...

Neologizmy

Gina Lollobrigida dzięki swym znanym kształtom uhonorowana została w ostatnim wydaniu słownika francuskiego nowym przymiotnikiem: — „Lollobrigidyenne” (tj. mniej więcej „Lollobrigidydzyna”) — wyrażenie używane głównie przez artystów, lecz również przez ludzi innych zawodów na określenie pagórkowatego krajobrazu...

Patriotyzm

Dyrektor Stowarzyszenia Amerykańskich Kolei, J. Handly Wright udał się kiedyś do Los Angeles, by wygłosić przemówienie dla miejscowej dykcji. Zapytany, dlaczego drogie z Waszyngtonu odbył samolotem odparł: — Odkąd nasze koleje dokładają do każdego pasażera zdecydowałem się latać, by nie komplikować naszej sytuacji...

Zdrowe zera

Profesor uniwersytetu w Pensylwanii, wybitny psychiatra dr Earl D. Boad stwierdził kiedyś: — Jeden na 140 Amerykanów jest tworem doskonałym, tj. bez kompleksów, przesądów, uderzających wad i słabości. Jesli by jednak ustawił te twory obok siebie przestaloby się im zżodzić. Wyglądaliby bowiem jak szereg doskonałych zer... Z. W.



JANINA MARCISZEWSKA — instruktor KO w Międzyzakładowym Klubie Łącznościowca w Rzeszowie.

Rys. J. SIENKIEWICZ



Pan Joachim Rdest, człowiek prymitywny i zabobny opowiedział przyjacielom, że przysnił mu się czarny kogut. Pragnąc rozwiać niepokój pana Joachima, światły emeryt Piwko przytoczył pewną anegdotę ze swego życia.

— Przed wielu laty znalazłem się w zapadłej wiosce w górach. Zamieszkałem tam pod dachem małego wieśniaka — był to człowiek biedny, obciążony liczną rodziną, znękany troskami i w pocie czoła zdobywający swój chleb powszedni. W izbie dogorywała chora gospodyni, blada i koścista jak widmo. Skłoniłem gospodarza, by z pobliskiego miasteczka sprowadził do niej lekarza. Lekarz przyjechał, opukał pacjentkę, pokiwał głową, stwierdził silne wycieńczenie, zalecił forsowną dietę i — odjechał. Ani gospodarz, ani jego chora żona nie potraktowali poważnie słów doktora. Na skutek ubóstwa i twardego życia, ludzie ci stali się skąpi, odmawiali sobie nawet tego, co było najkonieczniejsze. Z rozgoryczeniem wykpił więc rady doktora i zaczął obliczać koszty pogrzebu. Przejęty głębokim współczuciem, wyszedłem na podwórko. Muszę tu zaznaczyć, że choć moi gospodarze byli ludźmi biednymi, to jednak w oborze porzykiwała krowina, wieprzek tarztał się w chlewiku, a na dziedzińcu grzebały kury i koguty — drób był rasowy, czarny, taki jak kogut, który tej nocy przysnił się panu Joachimowi. Wróciłem do izby, usiadłem obok chorej kobiety i powiedziałem: „Tylko jeden

jest dla was ratunek, matko. Tylko jedno lekarstwo na waszą chorobę. Dokładnie o północy trzeba związać czarnego koguta, lub czarną kurę, na progu chałupy odrąbać ptakowi głowę i w czarnym garnku zgotować z niego rosół. Ten rosół trzeba pić trzy razy dziennie i trzy razy dziennie zjeść po kawałku mięsa. Takich czarnych kogutów trzeba zjeść kilka, aż poczujecie się lepiej”. Gospodarz bardzo przejął się radą i już o północy zarządził czarnego koguta na progu izby. Dopomogłem mu przyrządzić rosół, nakarmiliśmy chora. Po kilkunastu dniach, podkarmiona kilku kurczakami, kobieta wstała z łóżka i zabrała się do zwykłych zajęć. A po całej wsi rozeszła się wieść o moim skutecznym znachorstwie.

W tym miejscu emeryt Piwko zapalił fajkę, a literat Kwiatuśzko zauważył.

— Wykorzystując ciemnotę tych ludzi, przyczynił się pan do tego, by zastosowali się do zaleceń lekarza.

— Tak jest — przyznał emeryt. — Opuszczając wioskę wyjaśniłem to moim gospodarzom. Byli nieco rozczarowani, ale ostatecznie zgodzili się, że czarna kura jest równie dobra jak biała, i że barwa upierzenia nie wpływa na odżywczość rosółu.

— Najważniejsze, że gospodyni powróciła do zdrowia — powiedział pan Joachim, który zdążył już zapomnieć, że śnił mu się tej nocy czarny kogut.

ZDARZENIA TYGODNIA

W dniu 2 bm. odbył się kolejny koncert symfoniczny orkiestry Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego w Rzeszowie, która wykonała Symfonię h-moll A. Borodina, Uwerturę do opery „Krawiacy i górale” Stefaniego-Fitelberga.

Solistką koncertu była Nell! Akoplan — pianistka ZSRR należąca do grupy młodych radzieckich pianistów, laureatka I nagrody Międzynarodowego Konkursu Pianistów im. R. Schumanna w Zwickau i zdobywczyni złotego medalu. Wykonała ona koncert fortepianowy f-moll Fryderyka Chopina. Warto nadmienić, że artystka ta odbywa obecnie tournée artystyczne po Polsce.

Orkiestra Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego wykonała pod dyktando Tadeusza Chachaja z okazji „Dnia Leśnika i Drzewiarza” koncert muzyki popularnej. Również z okazji Święta Pracy i uroczystości wręczenia sztandaru orzechodniego dla oddziału miejskiego PSS w Rzeszowie „Społem” orkiestra Filharmonii zaprezentowała program specjalny. Były to utwory rewolucyjne kompozytorów polskich i radzieckich. Koncertem dyrygował Tadeusz Chachaj. W piątek w Sali Kolumnowej KW PZPR orkiestra Filharmonii z udziałem chóru Towarzystwa Śpiewaczego „Orfeusz” dała koncert, którym dyrygował Janusz Ambros.

W dniu 28 ub. miesiąca został rozstrzygnięty konkurs na plastykę obrzędową wsi rzeszowskiej, zorganizowany przez Wydział Kultury Prezydium PRN w Brzozowie, Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemyślu i Brzozowskie Towarzystwo Kulturalne.

Jury pod przewodnictwem mgr Barbary Zagórnej-Teżyckiej z Ministerstwa Kultury i Sztuki przyznało w dziale pisane, 8 nagród i 9 wyróżnień, w dziale kołatek 4 nagrody i w dziale zabawek 4. W konkursie wzięło udział 39 osób z powiatów: Brzozów, Przemyśl, Lubaczów, Krosno i Strzyżów.

Konkurs mimo krótkiego terminu przygotowawczego i nadsyłania prac przyniósł dość bogaty plon w postaci prac, odzwierciedlających stare techniki i nowe pomysły.

W Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Sedziszowie odbyła się sesja naukowa, zorganizowana w ramach obchodu 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i 15-lecia istnienia Okręgowego Zarządu Metodyczno-Programowego.

Na program złożyły się: wykład dziekana krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej doc. dr Tadeusza Słowikowskiego nt. „Nowoczesność i tradycja w nauczaniu historii”, Jerzego Lowella „Mikroświaty młodych ludzi”.

W godzinach popołudniowych odbyły się występy szkolnego teatru poezji i występ szkolnego zespołu wokalnemuzycznego.

Ostatnio odbyło się w Rzeszowie posiedzenie Wojewódzkiej Komisji Upowszechnienia Książki i Prasy Technicznej. Na program złożyły się sprawozdanie z przebiegu XI Dni Książki i Prasy Technicznej, które odbyły się w październiku ub. roku oraz sprawy organizacyjne konkursu dla uczniów szkół średnich na recencje o książki techniczne i prace techniczne, którego termin upłynął w ub. miesiącu. Prace będące oceniane powołana na posiedzeniu komisja. W związku z rezygnacją dotychczasowego przewodniczącego komisji wybrano nowego, którym został mgr Rajmund Lewicki, sekretarz WKZZ.

Ostatnio odbyło się posiedzenie prezydium Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, na którym podsumowano dotychczasowe wyniki kampanii wyborczej w kołach, zarządach miejskich i powiatowych Towarzystwa. Omówiono sprawę związane z obchodami XI Tygodnia Ziemi Zachodnich i Północnych, przypadającego w dniach od 4 do 11 maja br. Omówiono także udział Towarzystwa w ramach Frontu Jedności Narodu i akcji przedwyborczej i wyborczej do Sejmu i rad narodowych. Jak wynikało z informacji sekretarza ZW St. Pwińskiego, do najlepiej pracujących oddziałów Towarzystwa należą: rzeszowski, krośnieński, sanocki, przemyski i łańcucki.



Talent

W filmie „Viva Maria”, wyświetlanym i na naszych ekranach występowały razem B. Bardot i J. Moreau. Po paryskiej premierze jeden z dziennikarzy spytał Jeanne Moreau: — Która z pań odniosła dziś większy sukces? — Przyznał — odparła spokojnie aktorka — że ubrana jedynie w ręcznik kąpielowy mam dużo mniejszy talent od Brigitte.

Skromność

W. Churchill czekał kiedyś na windy w jakimś hotelu. Wtedy ktoś zauważył: — Wygląda pan zupełnie tak samo, jak Churchill! — Nie podobnego — zaprotestował wtedy Winston — znam go dobrze, jest dużo szcuplejszy i przystojniejszy ode mnie... Co gorzej?

Słynny muzyk, Irving Berlin przez całe życie cierpiał na bezsenność. Kiedyś widząc, jak miernie wygląda, przyjaciel spytał go, czy spał gorzej niż zwykle, Berlin odparł: — Nawet spałem, ale całą noc śniło mi się, że nie mogę zasnąć!

Usprawiedliwienie

Znany aktor francuski Sacha Guitry powiedział kiedyś: — Nie oszukujemy kobiety, gdy ją oklamujemy. To ona nas oszukuje, udając, że nam wierzy...